Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena zł 1.20

W NUMERZE

Z. WOŹNICKA — O książce, której w USA nie wydano...; G. TIMOFIEJEW — 70-lecie urodzin Gładkowa; A. ROLLAND — Fabryki i uniwersytety w dżunglach Vietnamu; K. PAŁYS — „Elektrostancja" w Serpelicach; H. ZAWORSKA — „Wśrubować czytelnika w gąszcz walki klasowej"; A. SZARSKI — Stara i nowa Bastylia; R. KORN — Mówi młodzież francuskich wiosek; A. PASTUSZEK — Gorzki jest chleb na tułaczce; D. GAŁAJ — Nie wszystko złoto, co się świeci. B. GOŁĘBIOWSKI — „Swego nie znacie!.."; T. ATKINS — Za kulisami prowokacji; K. ŻUKOWSKA — „Nie jesteśmy sami"; A. LISIECKA — Prawda o Ameryce; P. DONIEC — Wnioski dla aktywu;

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok X — Warszawa, dnia 12 lipca 1953 r. — Nr 28 (414)

WACŁAW PALIK

O GOSPODARZACH TERENU W PRZEDEDNIU ŻNIW

(Fragment dyskusji na Sesji Powiatowej Rady Narodowej powiatu Reszel)

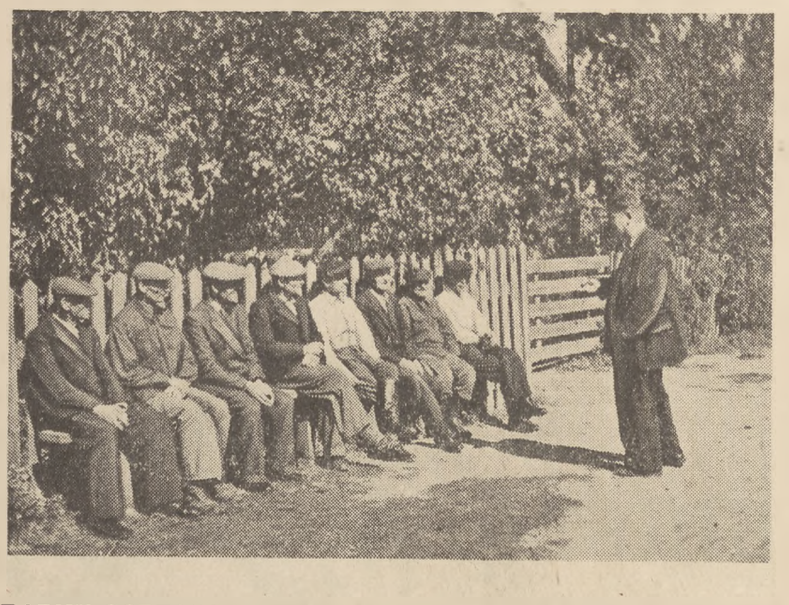

RADNY GORTATOWSKI
z gm. Lutra

Nasza spółdzielnia w Kiekitach otrzymała za rok 1952 sztandar przechodni w powiecie. Nadchodzą nowe żniwa. Myślę, że sztandaru nie wypuścimy z rąk. Dlaczego tak myślę? Bo w miejscu nie stoimy. Idą też naprzód inne spółdzielnie. Ale nasza należy do najstarszych. A czas w walce znaczy dużo. Czwarty rok gospodarujemy, cała wioska w spółdzielni. To Wam chcę powiedzieć, Obywatele Radni, że na gospodarce zespołowej państwo nasze może się oprzeć. Myśmy w ub. roku pod uprawę mieli 200 ha, a rodzin 36 i 80 ton zboża r gli-śmy swobodnie i z ochotą dać ponad plan. Od nas zboże selekcyjne biorą indywidualni z wiosek okolicznych. Od nas tej wiosny dużo kupowali chleba. My nie gadamy, co ślina przyniesie na język, a wiatr potem porwie i szukaj prawdy w polu. U nas to wszystko można sprawdzić. Jest w księgach i na wywieszonych listach zapisane — przejrzyste i niezbite. Myśmy polubili te plany i rachunki. Z nich płynie taka nauka, jakiej chłop jeszcze nigdy historii nie poznał. Bo co tu gadać o godności człowieka i obywatela, póki on jak ten listek na rzece. Myśmy łódź wybudowali i sterujemy świadomie. U naszych spółdzielców sąsieki jeszcze dziś pełne chleba, ale my wiemy, skąd on się wziął, jak go trzeba powiększać i dlaczego?

Na tej ziemi piastowskiej, której powróciła nas Ojczyzna, zastaliśmy ugory zachwaszczone. Od niejednego chłopa wyższe były burzany. Trzeba się było w ziemię wryć, aby chciała rodzić. Ale nasz powiat, Obywatele Radni, ma charakter *rolniczo-hodowlany*. Takie pisane jest życie tej krainie. Jak Śląskowi pisane było wsławić się węglem i żelazem. Na tym Śląsku zamykano jednak przed wojną kopalnie i huty. Odbierano życie Zagłębiu, a w ten sposób życie całemu narodowi. O takiej polityce dobrze wiemy, co sądzić. Była to polityka zdrady narodu, wyprzedawania naszej Ojczyzny. Ale odkąd władzę dzierży klasa robotnicza w sojuszu z chłopstwem pracującym, nasz Śląsk takim zatętnił życiem, że godny stał się imienia Stalina.

Obywatele Radni! My, chłopi w powiecie Reszel, jesteśmy odpowiedzialni za charakter tej ziemi. *Wedle tego charakteru* mamy obowiązek rozwijać jej życie. Bo to życie należy nie tylko do nas, ale przez nas do ojczyzny, aby podnosić dobrobyt i siłę całego narodu.

Otóż, rozpatrzmy na tej Sesji Budżetowej i Planu na r. 1953 dla naszego powiatu — jak my gospodarujemy w powiecie? Bo co kto robi na indywidualnym, spółdzielczym i państwowym gospodarstwie, pracuje albo w kierunku rozwoju życia naszego powiatu według charakteru tej ziemi albo hamuje jej rozwój i marnuje możliwości tej pięknej krainy.

Weźmy się zatem do liczb. W ubiegłym roku na obowiązkowy i wolny skup sprzedaliśmy żyta o 14 proc. więcej niż w r. 1951, pszenicy o 90 proc., owsa o 17 proc. Jesienią mimo deszczów orki wykonane zostały w 98 proc., tzn. o 11 pr. objęły więcej ziemi niż w r. 1951. W tej dziedzinie duże mamy osiągnięcia. Trzeba to nawet podnieść. Bo i plony mieliśmy u indywidualnych rolników przeciętnie o 15 proc. większe jak w roku zaprzeszłym.

Ale w spółdzielniach były jeszcze wyższe o 17 proc. od indywidualnych. Czyli, że w zbożowych i okopowych jeszcze więcej można wyciągnąć z tej ziemi. Trzeba jednak gospodarować po nowemu, zespołowo. Ale czy spółdzielnie w tej tylko dziedzinie pokazały, co można i co trzeba w naszym powiecie osiągnąć? Nie, Obywatele Radni. Spółdzielnie pokazały o wiele więcej. One wzięły kurs na główny kierunek naszego powiatu jako hodowlano-rolniczego. Bo weźcie pod uwagę zbiory w naszej spółdzielni Kiekity. W jarej i ozimej pszenicy 20 q z ha, żyta 15, owsa 22, buraków 200 q.

O czym mówią te osiągnięcia w porównaniu z innymi okolicami w naszym kraju, np. pszenno-buraczanymi? Że na tej tylko drodze nie zajedziesz tak daleko, jak w Miechowskiem lub Lubelskiem. Trzeba nam iść po dwu na raz torach i mocniej brać kurs na hodowlę.

A jakże było z tym drugim torem ubiegłego roku w naszym powiecie? W skupie trzody chlewnej osiągnęliśmy tylko 84 proc., bydła — 80 proc. W hodowli podciągaliśmy w ub. roku, zbliżając się do wskaźników planu, koni — 97 proc., trzody chlewnej — 95, owiec — 98, bydła — 101 proc.

101 proc. bydła to dobry znak. Mogliśmy w tym roku osiągnąć przełom i wreszcie ugruntować rolnictwo na bazie właściwej dla powiatu Reszel. Ale co wam mówi, Obywatele Radni, taka liczba?

Oto w zeszłorocznym skupie osiągnęliśmy 1'3 proc. *cieląt*. Tyle byczków? Nie! Tu poszły na rzeź również przyszłe krowy, dojne i cielne. Taka „polityka" podważyła kierunek rozwoju i zahamowała go.

A co to znaczy? Znaczy po pierwsze, że u indywidualnych tu i tam zmniejszyć się mogą dochody. Z ich własnej winy. Znaczy to po drugie, że z własnej winy znajdą się tu i ówdzie wobec większych trudności przy wywiązywaniu się wobec państwa z obowiązkowych skupów. Bo proszę Was, Obywatele Radni, charakter naszego powiatu dobrze jest znany naszemu Rządowi Ludowemu i uwzględniony w Planie 6-letnim. Na realnych możliwościach budowany ten plan dobrobytu i kultury całego narodu. Możliwości hodowlane w naszym powiecie upoważniały do tego, aby w roku bieżącym przyjąć rozszerzenie areału pastewnych o 15 proc., kartofli o 26 proc. Aby w skupie zboża zmniejszyć wskaźnik naszych obowiązków o 4 proc., a podnieść wskaźnik na trzodę chlewną o 14 proc., mleka o 28, owiec o 20 proc.

Po trzecie, Obywatele Radni, utykając w hodowli, nasz powiat marnotrawi największe dobro — siłę przyrody tej krainy. Ona zaś jest nie tylko własnością każdego z nas, ona jest własnością całego narodu. I trzeba jej moc produkcyjną szanować jako *moc ludową*, jako *siłę naszej ojczyzny*.

Na nikogo innego tej odpowiedzialności zrzucać nie możemy. Od nas klasa robotnicza ma prawo oczekiwać patriotyzmu współgospodarzy i według stopnia tego patriotyzmu oceniać nasz wkład w sojusz robotniczo-chłopski.

I tu muszę znów nawrócić do spółdzielni produkcyjnej. Nadchodzą żniwa w polu! Ale my pamiętajmy o żniwach *całego roku*. O żniwach, jakich oczekuje od nas Państwo Ludowe w powiecie Reszel. W bilansie naszego powiatu mamy bowiem podsumować dwa osiągnięcia: w polu i w hodowli!

Patrzę dalej. Dlatego przypominam, że o pełnym zwycięstwie nie zadecydują jeszcze żniwa, zadecyduje obrachunek całego roku, płody ziemne i hodowla.

I tu, Obywatele Radni, spółdzielnie produkcyjne świecą przykładem i wskazują właściwy kierunek. W Kiekitach mamy wielką oborę, ponad 100 sztuk bydła. Dlatego słusznie na początku powiedziałem, że na gospodarce zespołowej może się nasze państwo oprzeć. Ale naszym obowiązkiem jest natchnąć patriotyzmem wszystkie gromady w powiecie. Bo bój o rozwój produkcji według możliwości i charakteru naszej ziemi, to bój o siłę i bogactwo ojczyzny.

RADNY FELIKS SOCHA
z gm. Czerwonka

OBYWATELE Radni! Będę mówił o szczegółowych sprawach. Na pierwszy ogień — maszyny. W POM i Gomach mamy dużo maszyn. Ale jaka ich zdolność w pracy? Kosiarki i żniwiarki wysłano w ubiegłym roku z jedną sztangą, znaczy się z jednym nożem. Gdzie rozum, kiedy właśnie najbardziej sztanga się tępi, gnie i łamie. Nie wyciągnęły GOM-y właściwych wniosków i do tegorocznych sianokosów znów poszły kosiarki po staremu. Czy możecie powiedzieć, że okrągły rok to mało czasu na dorobienie sztang?

Byłem na kontroli GOM w naszej Czerwonce. Kosiarek 4. Dwie rozprowadzono. A pozostałe dwie? U jednej brak nakrętki do targańca. Tylko nakrętki — śrubki znaczy się i... stoi. Druga wyrychtowana, ale kierownik nie ma pełnych 10 dniówek zamówienia, więc też stoi.

Taka to polityka maszynami? Czy kierownik to pająk, który czyha za piecem na muchy? A jemu nie łaska wyjść do gromad i robić zamówienia? W ubiegłym roku do akcji żniwno - omłotowej agregaty GOM były nie przygotowane, brakowało też motorów spalinowych. Czy Gminna Rada chce powtórnie dopuścić do takiego stanu? Umiało Prezydium wzywać tych, co się ze skupem opóźnili, a nie umie wezwać hultaja, który jest częściowym sprawcą tego opóźnienia?

Obywatele Radni! Nie wolno nam zaniedbywać maszyn. Bo co my wtedy zaniedbujemy? Samą produkcję, pomoc w pracy, tempo zbiorów, omłotów i skupu. Cały ten łańcuch, który powinien być ścisły, rozłazi się nam w rękach.

Chłopi patrzą poważnie na maszyny. Ale dlatego cholera ich bierze na te pojedyncze sztangi, na brakujące nakrętki, na przestoje, na nie uruchomione agregaty. A my co? Czekamy, aż wróg przerobi gniew chłopów na lekceważenie maszyn? Wróg wbija tu klina w sojusz robotniczo-chłopski. Podważa spójnię na metal. Podważa to, co chłopu na wsi najbardziej imponuje, bo mu najbardziej potrzebne.

Sprawa podatków, Obywatele Radni. Nasza gmina oraz gminy Radostowo, Kolno i Klewno zdobyły szczególną sławę. Okazało się, że opłaty administracyjne przyniosły naszej gminie *dochód*. Z tego źródła wymyślono pozycję dochodu. Oczywiście, że było to wadliwe planowanie finansowe.

Oczywiście, że trzeba wykarczować elementy biurokratyzmu i rozkładu z aparatu naszych rad. Bo jeśli gmina Czerwonka osiągnęła w opłatach administracyjnych 395 procent dochodów, a mieści się tu nie mała pozycja podatku gruntowego, to czegóż ten „ponadplan" dowodzi? Braku jakiegokolwiek przemyślenia. W gminie Klewno z tytułu podatku gruntowego „przychodowano" 204 proc., tzn. dwa razy ponad obowiązujący plan podatku. Komu to było potrzebne? Płatnikom? Oczywiście — nie. Radzie? Oczywiście — nie. Przecież to nie pozycja do dochodów ponad plan? Krótko mówiąc, tu nie o dochodowość idzie, ale o dopilnowanie sumiennego wypełnienia obowiązków obywateli-rolników.

Dopilnowanie nie na karach stoi, ale na właściwym podejściu w całorocznej pracy ludności gminy, na wciąganiu najlepszych chłopów do współpracy z radą, aby rozszerzyć i pogłębić na co dzień bezpośrednią łączność aparatu władzy terenowej ze wszystkimi pracującymi chłopami.

Jakie tu mamy wyniki? Gmina Czerwonka w bieżącym roku znów opóźnia się w spłacie podatków. Zeszłoroczny „ponadplan" nie wpłynął wychowawczo, nie upolitycznił chłopów. Na koniec maja mieliśmy dopiero 37 proc. wykonanego planu przez indywidualnych, bo spółdzielnie — te już wpłaciły 72 proc. planu finansowego.

A czy zeszłoroczny „ponadplan", myślicie, Obywatele Radni, utworzył chociaż gęstą siateczkę? Gdzie tam. Tkany był bardzo nierówno. Znalazły się w nim duże oka, przez które przelazł prawie nietknięty niejeden z takich, co ma 3 konie, 9 krów i 30 świń.

Tu, Obywatele Radni, należało bić i trzeba bić. Bo u takich przy 3 koniach, 9 krowach i 30 świniach, którzy zalegają z podatkiem, kiedy mało-i średniorolni za nich wyciągają „ponadplan" finansowy — u takich to *kumbinacja*. Kasę oszczędności chcą zbić na Ziemiach Odzyskanych, aby potem tam, skąd przyszli, willę sobie wystawić. Czy to nie oni uczą porzucania gospodarstwa, płynności w rolnictwie, dzikiej uprawy, samowolnego przechodzenia i dzierżaw przed terminem zwracanych aby nie płacić minimalnego podatku?

Trzeba więc nie tylko skończyć z mechanicznym ponadplanem tam, gdzie jako zadanie stoi tylko *norma*, ale trzeba do osiągnięcia tej normy, która określa obowiązek obywatelski rolników, wciągać szeroki aktyw. Trzeba udziesięciokrotnić siły Rad Narodowych, przyciągnąć pracujących chłopów do pracy w codziennym kierowaniu terenem. Wtedy będzie walka, wtedy złapią się we wnyki oczajdusze, a wszystkie rzeczywiste trudności u mało-i średniorolnych zostaną jak należy uwzględnione. I nasz aparat terenowej władzy będzie stapiał się z masami, będzie z nimi tworzył jedność ludową.

Wacław Palik

ZYGFRYD SAWKO

DZIEWCZYNA OD MŁYNA

(Fragment poematu)

I

Od wsi skręcałem ku młynowi w prawo
na twój drewniany mostek
obok stawu,
w cień wierzb przy młynie, których liści zieleń
spływa tu fontanną.

Młyn nie miele.
Nad stawem cisza. Drogą się oddala
woz zaprzężony w konie przez fornala,
twojego szwagra —
drogą wśród zbóż brodzi.

Podnosisz chmurne czoło — ktoś podchodzi.
Pozdrawiam cię
pogodą moich oczu,
zmęczony pytam, czy pozwolisz spocząć

Drewniany, stary mostek obok młyna —
za nim wzniesienie.
Drogą wóz się wspina
załadowany mąką — skrzypią osie...

Pod ścianą młyna co dzień na kamieniu
siadasz
patrząc — widzisz jak się mienią
i załamują w stawie
barwy słońca,
jak kwitną kwiaty za drogą
na łące.

W gałęziach wierzby promienieje zorza
i ze spokojem
bydło z pastwisk wraca...
A tobie smutno. Tobie, spojrzysz na co
na wierzbę — płacze,
na bór — słońce krwawi,
na bydło — ryczy
żałośnie jak dawniej.

Czyżby nie cieszył rok czterdziesty piąty —
zwycięstwa rok —
powrotu chłopców z frontu?

W czterdziestym szóstym
siedziałaś ciągle jeszcze na wsi
w pustce
starego domu z ojcem, siostrą, szwagrem...
Czereśnie dojrzewały, wiśnie, agrest...

Wzdłuż brzegu stawu na kwitnące łąki
szłaś ze mną
poprzez smugi jak przed rokiem.
„I mój — i nie mój staw" — mówiłaś patrząc
jak urzeczona na wodę bogatszą
o blask szmaragdów,
złotocieni złoża
wśród wodorostów, gdy jaśniała zorza.
Kochałaś — wiem, kochałaś to ustronie.

Do szosy drogą odwoziły konie
zmielone zboże. Falowały w polu
zielone kłosy...

2

Przy drodze tuż
bez fundamentów, czarna,
kto wie jak dawno pobielona ściana
pochylonego ze starości domku.

I okno na ulicę trudno domknąć,
i drzwi do słonki
wąskiej,
zbitej z desek
od strony drogi, których zawias nie chce,
ni żaden skobel trzymać, ani gwoździe...

I drzwi wciąż niedomknięte.
Szparą wchodzi
do izby kurz, ilekroć na pastwisko
wygania pasterz owiec kłębowisko,
na jarmark,
na odpusty jeżdżą fury,
dmą wiatry z pól piaszczystych wśród wichury.

Na ścianie domku drukowany napis:
„Punkt Biblioteczny".
Pożółkł w słońcu papier.
Sam dziwny styl budynku
zmusza prawie
zatrzymać się — tak mile zaciekawia.
A cóż dopiero napis. — Wieś
nie czeka.

Nim wzniesie Dom Kultury — biblioteka
zadanie spełni w domku choć najbrzydszym.
Bez skobla u drzwi — jakże symbolicznym.

Pośrodku stół, a w rogu wielka szafa.
Zamknięta. Cisza. Znać nie w porę trafiam.
Na ścianach rozwieszona czyjaś odzież:
spódniczka, płaszczyk, bluzka...
W takiej chodzić
odzieży lubi dziewczę w młodym wieku.

Wyganiam ptactwo, z okna wypatruję...
Chłop jakiś drogą
na ramieniu z kosą
samotnie idzie poprzez wioskę — boso.

„Człowieku" — wołam wybiegając za nim —
„nie wiecie, dokąd mogła wyjść z mieszkania
bibliotekarka?"
Chłop nie myśląc wiele
rzekł krótko:
„W polu,
u młynarza piele".

Po drugiej stronie drogi blachą kryta
biel ścian wśród krzaków,
barwne okna w szczytach —
z topolą równych w głębi... Dom sąsiada.

Z daleka poznać czyja to osada.
A zagród we wsi
zamożniejszych — mnóstwo.
Tu barwne domy, gdzie indziej — ubóstwo.

Spółdzielcza wieś na horyzoncie —
domyślasz się po domkach równych, chociaż
nie byłeś dawno w okolicy. Środa.
Od szóstej rano kobiety w ogrodach
spółdzielczych
jak i chłopskich — pielą.

Mężczyzna każdy jeszcze wcześniej stanął
do pracy — chcąc zakończyć przed niedzielą
koszenie łąk.
Południa są upalne —
południa w domach, a z pola jedynie
nie wolno schodzić najemnej dziewczynie.

3

Gdy z pól wróciła, późny był już wieczór.
Trzymałem w ręku „Dzieciństwo" Gorkiego
w staw patrząc...
Mogłemże spotkanie przeczuć?
Nie uwierzycie... W „najemnej" dziewczynie,
w bibliotekarce — z ustronia przy młynie
chmurnej, przed laty dziewczynę poznałem.

— „Smutną towarzysz u nas książkę czyta..."

Księżyc w obłokach jak w pianie lśnił białej —
niezwykłych rozstań świadek
i powitań.

Byliśmy za oceanem

ANDRZEJ PASTUSZEK

GORZKI JEST CHLEB NA TUŁACZCE

W 1926 roku z powodu braku pracy i chleba w Polsce zmuszony byłem emigrować do Ameryki. Polska sanacyjna pozbywała się nas chętnie. Nikt nie pomyślał, czy tam, w północnej Ameryce znajdziemy jakieś ludzkie warunki do życia, czy życie się nam rzeczywiście polepszy. Grunt, wysłać niepotrzebnych ludzi, pozbyć się ich i zmniejszyć w ten sposób bezrobocie.

Kanada wpuszczała tylko chłopów. Bo rąk do pracy na roli było za mało. Natomiast w fabrykach, jak się okazało po przyjeździe, dla samych Kanadyjczyków brakło pracy.

Po przyjeździe do Kanady załadowano nas zaraz do pociągu. Każdemu przypięto na piersiach kartkę z napisem: Winnipeg CPS Station. Dostaliśmy po paczce żywnościowej. Był w niej chleb, kawałek sera szwajcarskiego i zgnile banany. Za taką paczkę płaciło się dolara. Nic w Kanadzie nie dawano darmo. Za wszystko trzeba było płacić i to słono.

Po trzech dniach podróży znaleźliśmy się w biurze emigracyjnym. Tam już czekali na nasz przyjazd bogaci farmerzy, potrzebujący taniego robotnika. Podchodzili do każdego z nas, oglądali, o mało w zęby nie zaglądali, jak koniom wystawionym na sprzedaż na targu. Tych, których sobie wybrali, zabierali na swoje farmy.

Przyjechaliśmy późno w nocy. Byliśmy pomęczeni ciężką drogą i wygłodzeni, bo paczka za dolara starczyć nam musiała na trzy dni. Pieniędzy za dużo nikt nie miał, więc i nie dokupywaliśmy nic po drodze.

Głodni też poszliśmy spać. A następnego dnia o 5 rano już farmer kazał nam wstawać i brać się do roboty. Był to okres żniwny. Każdy z nas dostał po parze koni i miał zwozić zboże do maszyny. Pracowaliśmy ciężko, a najgorsze, że bez ograniczenia godzin, co najmniej po 15 dziennie. Żywiono nas marnie, nieraz byliśmy głodni, w dodatku farmer płacił nam mniej niż innym robotnikom. Oni dostawali po 4, a my po 3 dolary. Wykorzystywał naszą sytuację, nieznajomość kraju, języka angielskiego i stawek płaconych robotnikom w Kanadzie.

Kiedy po dwóch tygodniach skończyliśmy robotę przy żniwach — wypłacił i kazał jechać, gdzie oczy poniosą, bo u niego nie było już dla nas roboty. A tu zaczynała się zima (żniwa w Kanadzie zaczynają się we wrześniu i trwają do października). Mrozy poczęły dokuczać, a ubrania zimowego nikt z nas nie miał. Po namyśle zdecydowaliśmy się wracać do Winnipeg, stołecznego miasta prowincji Manitoba.

Część otrzymanych od farmera pieniędzy wydaliśmy na podróż. A kiedy przyjechaliśmy do Winnipeg, dowiedzieliśmy się, że jest bezrobocie. Nie wiedzieliśmy, że w mieście, zwłaszcza po żniwach, jest bardzo ciężko o pracę, bo wszyscy robotnicy rolni zatrudnieni sezonowo na farmach zjeżdżają do miasta na zimę. Chwytają się każdej pracy, jaka się nadarzy i przejadają zarobione w lecie pieniądze. Tak jest co rok. Robotę w tym okresie czasem można dostać w lasach, przy karczowaniu. Ale i tej pracy dla wszystkich nie starcza. Choć z emigrantów robotnicy byli nieźli, tańsi od innych, można było ich łatwiej oszukać, to i tak wychodźców nawet do tej roboty w lesie nie chciano przyjmować, bo nie znali angielskiego. Co robić, z czego żyć? Uradziliśmy w kilku pójść do polskiego księdza, poprosić o pomoc. Liczyliśmy, że nam doradzi, a może i pomoże w dostaniu pracy. Ale ksiądz udawał, że po polsku nie umie mówić, chociaż słyszeliśmy, jak wygłaszał po polsku kazanie. Zrozumieliśmy wtedy jasno, że temu księdzu nie chodziło wcale o takich biedaków jak my. Co by mu z nas przyszło? Ani czym się „odwdzięczyć", ani na datki na kościół — a właściwie na księdza proboszcza — nas stać nie było.

W parę dni potem dowiedzieliśmy się, że w Winnipeg jest jakaś ukraińska robotnicza organizacja. Udaliśmy się tam zaraz i oni nam prawdziwie pomogli, bo skierowali do roboty w lesie.

JÓZEF PIOTROWSKI

ŻYCIE „GORSZYCH LUDZI"

Jeżdżąc po Argentynie w poszukiwaniu pracy, miałem nieraz okazję przyjrzeć się warunkom, w jakich żyli rolnicy.

Drobny rolnik albo kupował ziemię w prowincji Missiones czy Czaho (tylko w tych dwóch prowincjach można kupić ziemię) lub też wydzierżawiał ją w innych prowincjach od wielkich właścicieli.

A trzeba wiedzieć, że w Argentynie w rękach ok. 1000 rodzin znajduje się niemal cała argentyńska ziemia. Ci obszarnicy sami nie wiedzą dokładnie, ile posiadają tysięcy hektarów, ile mają stad pasącego się na tej ziemi bydła.

Otóż od takiego obszarnika można było wydzierżawić ziemię, ale tylko na 4 lata. Opłaty za dzierżawę były dość wysokie, ale jeśli mimo to udało się rolnikowi po paru latach tak zagospodarować dzierżawiony kawałek, że mógłby się dorobić, to akurat kontrakt wygasał i właściciel nigdy go nie przedłużał. Bo i po co? Ziemia była zagospodarowana i obszarnik wolał sam ciągnąć z niej zyski. A dzierżawca mógł u innego obszarnika wziąć kawałek ziemi, ale znowu tylko na 4 lata. A potem znowu po latach ciężkiej pracy wynosić się gdzie indziej.

W tych prowincjach, gdzie wolno było kupować ziemię, była rzeczywiście tania. Ale co z tego, kiedy na to, by zamienić ją na pole uprawne — trzeba było wykarczować dziewiczą puszczę. Po wycięciu lasów i oczyszczeniu pola zasiewa się je nie tak jak u nas, trochę owsem, trochę pszenicą, trochę mieszanką itp., tylko albo wszystko pszenicą, albo wszystko rzepakiem czy inną rośliną. Gdy przychodzi czas zbiorów, prywatna firma — kompania — przysyła maszyny i ludzi, oni zetną zboże i wymłócą. A potem podjeżdżają kompanijne samochody i całe to zboże zabierają do miasta. Ma się rozumieć, że kompania kupująca od rolnika zboże liczy mu słono za maszyny i za transport. Obdziera rolnika tak, że darmową cenę za to zboże w końcu płaci zarabiając 300—400%. A jeżeli ktoś by spróbował nie skorzystać z usług kompanii, nie sprzedać jej zboża — to cały plon zgnije na polu. Rolnik do miasta odległego o trzysta i więcej kilometrów zboża nie powiezie.

Właściciel kompanii poza maszynami do sprzętu zboża, czy samochodami do jego transportu ma swoje młyny, swoje sklepy spożywcze, ciastkarnie, piekarnie itp. On też dyktuje cenę na wszystko robotnikowi w mieście, który nie ma do wyboru żadnych innych sklepów, i rolnikowi, który zmuszony jest jemu sprzedać, bo inaczej zmarnują mu się plony.

W każdej fabryce w mieście czy na wsi po faszystowsku dzielono ludzi na „lepszych" i „gorszych".

Najbardziej uprzywilejowani byli Anglicy, Hiszpanie, Niemcy. Oni pracowali na najlepszych stanowiskach, przy najlepszych robotach, oni też byli najlepiej płatni.

Druga kategoria ludzi to byli Francuzi i Włosi. Słowianie: Polacy, Litwini, Ukraińcy, Czechosłowacy i inni pracowali najciężej, przy najgorszych, najbardziej brudnych robotach, pomiatano nimi i w pierwszej kolejności zwalniano z pracy. Słowianin nie mógł być urzędnikiem państwowym i traktowany był niewiele lepiej od kolorowych — tubylców.

Najstraszniejszy był los kolorowych. Dla nich nie było miejsca na „wolnej" argentyńskiej ziemi. Co wykarczowali jakiś kawał lasu i chcieli go zamienić na pole uprawne, zabierali im to pole Argentyńczycy, a ich spychali coraz dalej w las. Tubylców wyzyskiwano bezlitośnie. Część pracowała na plantacjach trzciny cukrowej na Formozie. Ich starszy — kacyk (wyróżniający się znajomością języka hiszpańskiego) umawiał się z właścicielem plantacji albo z zarządzającym plantacją o zapłatę. Rzecz jasna, że płacili im nędznie. Taki tubylec za cały dzień ciężkiej pracy nawet na życie nie zarobił. Wykorzystuje go nie tylko właściciel, ale i ten sam kacyk, który część z tej nędznej zapłaty jeszcze urywa dla siebie. Właściciel plantacji nie płaci kolorowym pieniędzmi, tylko bonami do swoich sklepów. W tym sklepie za wszystko im liczą drogo i często oszukują zapisując np., że wziął więcej towaru niż naprawdę wziął, tak że w końcu muszą oni całe miesiące pracować darmo, by białemu panu zwrócić za towar wzięty w sklepie.

Tubylców nie chroni prawo. Tubylca można zabić, nikt się za nim nie ujmie. Traktuje się go gorzej jak zwierzę. Zmusza się do pracy po dwadzieścia parę godzin. Nic dziwnego, że żyje on najdłużej do 35 lat.

Pamiętam w 1946 r. przyjechała do Buenos Aires delegacja tubylców prosić rząd o przyznanie im prawa do ziemi, o wyznaczenie im jakiegoś terytorium, z którego by ich biali nie wygnali, na którym mogliby spokojnie żyć. Rząd delegację przyjął uprzejmie. Obwoził jak małpy w klatkach i pokazywał ludziom, a później odmówiwszy ich prośbom kazał jechać z powrotem. Tubylcy się na to nie zgodzili. Wtedy policja rzuciła na nich bomby gazowe. Siłą ich zabrali, zapakowali do wagonów i wywieźli.

Tak w „wolnym demokratycznym" kraju traktuje się człowieka.

Fragmenty z tomu wspomnień emigrantów polskich w USA, który ukaże się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

JERZY MILLER

DWA BRZEGI WISŁY

Wieluż to w chwili śmierci, gdzieś nad Amazonką,
ostatnią myślą biegło do ciebie o, Wisło!
Kolibrów śpiew świergotem zdał się im skowronków
i obca rzeka mową gadała ojczystą.

Pod tchnieniem z delt mulistych zionącej malarii,
o czym tułacz-emigrant, chłop w siermiędze marzył?
Czy śnił mu się liść wierzby, czy liść araukarii
i co wreszcie przyniosło spokój martwej twarzy?

Widział się w Polsce, w ziemi żytniej pogrzebany
nad brzegiem Wisły, która była dlań macochą.
Chciał, aby ciało nurtem obmyto wiślanym,
by za trumną szli ludzie ciężko, jak za sochą.

Ale nawet w marzeniu przecież nieziszczalnym,
w tęsknocie, co bolała bardziej od tułaczki,
nie umiał cię zobaczyć, mrąc pod cieniem palmy,
inaczej niźli w roli narodowej płaczki.

Któż ich groby odnajdzie — nieznanych wygnańców
jak nieznanych żołnierzy nigdzie nie spisane?
Grudka ziemi wypadła z rozkurczonych palców
i ziarnka żyta w dłoni kiełkują nie wsiane.

W osadzie podźwigniętej na miejscu, gdzie puszcza
skrętami lian polskie dłonie rozkrwawiała,
kaboklo brazylijski jak spętany mustang
buntowniczą tęsknotą do wolności pała.

A Wisła! Czyż jej woda i dzisiaj jest gorzka
jak ludzie, którzy w niej się przed laty przejrzeli?
I słowik, gdy wieczorną, miłosną pieśń kląska
czy nadal trąca smutku strunę jak Anhelli?

I brzeg, na którym lżejby się tułaczom marło
niż nad niewzeszłym w dżungli żytem — czyż się zmienił,
jak ziemia, co swą dolę przekreśliła czarną,
nie chcąc dłużej brać wzoru z śródpolnych kamieni?

*

Pod kopcem Wandy pieców błysły paleniska
i tygle Nowej Huty ciemność roztopiły.
O gdyby, który z was nieszczęsnych wzrok odzyskał,
o gdyby martwe serca na chwilę odżyły!

Gdybyście dzisiaj mogli przypatrzyć się Wiśle
przed batalią natchnionych piaskarzy i nurków
i uwierzyć, że jutro struga światła tryśnie
z jej szarego jak popiół i chłodnego nurtu!

ZOFIA WOŹNICKA

O KSIĄŻCE, KTÓREJ W USA NIE WYDANO...

TERAZ, kiedy oczy wszystkich zwrócone są na Amerykę z wyrazem bólu i gniewu, ale także z wyrazem miłości i dumy, albowiem przebieg sprawy Rosenbergów uwidocznił znów i z większą niż kiedykolwiek jaskrawością walkę dwóch Ameryk — książka E. E. Warda *) ukazuje się bardzo na czasie. Mówi ona o walce, która toczy się obecnie w Ameryce, pozwala lepiej zrozumieć mechanizm, którym rządzi się Ameryka, a właściwie, którym jest rządzona.

Powieść Warda obejmuje historię życia bohatera, a właściwie wycinek tej historii, dający pretekst do ukazania przekroju społeczeństwa i uwydatnienia podstawowych problemów społecznych.

Pewna cecha powieści Warda wiąże ją z tradycjami postępowego, demaskatorskiego odłamu literatury amerykańskiej — książka ta demaskuje pewną szeroko lansowaną bajeczkę. Bajeczkę o wspaniałej amerykańskiej karierze, otwartej dla wszystkich energicznych, uczciwych ludzi, którzy trzymają się przykazań boskich i nie przekraczają kodeksu karnego.

Już stary Twaine rozprawiał się z tym mitem. Książka Warda demaskuje jeszcze jeden, szczególnie perfidny i zmodernizowany wariant tej bajki. Autor rozprawia się mianowicie z lansowaną przez sprzedajną literaturę, propagowaną za pomocą prasy, radia i filmu, przeznaczoną dla rzesz robotniczych mrzonką o „rozsądnym, patriotycznym, prawdziwie amerykańskim robotniku", który z pracodawcami, równie „porządnymi facetami" dogada się zawsze, przechodząc mimo walki klas itp. „zawracania głowy".

Stworzyli ten mit ludzie, dla których solidaryzm społeczny jest niezwykle wygodnym narzędziem. Ward pokazuje w swojej książce, jak taki właśnie sposób ujmowania zagadnień społecznych prowadzi nieuchronnie do zdrady. Widzimy, jak pozbawiając się samochcąc jedynego niezawodnego oręża w walce z kapitalizmem, którym jest marksistowska filozofia, miły i dzielny człowiek, typowy amerykański „dobry chłopiec" staje się zdrajcą, tchórzem i łajdakiem. A wszystko to dzieje się niezależnie od tego, że Littleman ma instynkt klasowy, który jednak, jak każdy instynkt, ulega stępieniu, kiedy Steve zostaje wyrwany ze swego środowiska, wystawiony na wszelkiego rodzaju pokusy i kiedy odpowiednie czynniki robią wszystko, żeby go zdeprawować.

Stephen Littleman (nazwisko jego jest wymowne) nie jest złym człowiekiem, przez długi czas towarzyszy mu sympatia czytelnika, jego odejście od klasy robotniczej następuje stopniowo, jego upadek nie jest łatwy, nie obywa się bez prób walki i oporu, autor nie ułatwił tu sobie zadania. A jednak drogę zdrady przebiega Steve logicznie i konsekwentnie od chwili, kiedy będąc przywódcą ruchu robotniczego odrzucił broń marksizmu. W ukazaniu tej konsekwencji tkwi zwycięstwo ideologiczne i artystyczne autora.

Myślę, że to był powód, dla którego żadna firma w Ameryce nie podjęła się wydania tej książki, wskutek czego wydawnictwo polskie ma zaszczyt po raz pierwszy ogłosić drukiem powieść Warda. Wydawcy amerykańscy decydujący się nawet na ujawnienie gorszych nadużyć niż te, których dopuszczali się podwładni milionera Pasmore, zrozumieli dobrze, że milionerzy i ich machinacje nie stanowiły sedna zainteresowań Warda, który zwraca się do przedstawicieli prawdziwej Ameryki — klasy robotniczej, rozumiejąc, że od jej dojrzałości, od jej rewolucyjności zależy przyszłość kraju.

Książka Warda ujęta jest w dwie kompozycyjne klamry: zaczyna się zrzuceniem z urzędu sekretarza Związku Zawodowego Tony Schermerhorna, który się na tym stanowisku zdemoralizował, a kończy się klęską poniesioną przez Littlemana, który jak i jego poprzednik uległ wrogim wpływom. Mimo to książka nie jest pesymistyczna. Nie dowodzi, że każdy człowiek porządny, lecz przeciętny, wyniesiony na stanowisko przywódcy, musi marnie skończyć. Ostatni akcent książki jest optymistyczny: Eryk Ragnald, świadomy komunista, istotny przywódca mas robotniczych, nie został ich formalnym reprezentantem tylko dlatego, że zastosowano terror, ale w istocie Eryk odniósł zwycięstwo, a wraz z nim zwyciężył ogół robotników, który zrozumiał wreszcie, że tylko przywrócenie sobie rewolucyjnej ideologii, aktywność, bezkompromisowy udział w walce klasowej, ustrzeże ich od ponoszenia dalszych klęsk.

Z dziejów polskich emigrantów — przy budowie kolei

Wszystkie te prawdy ukazuje autor na żywym, ludzkim materiale — z tego względu książka jego jest interesującą nie tylko dla jej walorów poznawczych, ale i artystycznych. Postacie Stephena Littlemana i jego żony urastają do wymiarów postaci typowych. Wiele scen wbija się w pamięć (np. kapitalne spotkanie Steve'a z milionerem Pasmore).

Oczywiście nie wszystkie postacie są równie żywe i wyraziste. Obok Gusa, Eryka i dzielnej Flo razi sentymentalna Pia i jej dziwaczne wystąpienie, kiedy to zamierza skarżyć się publicznie na przeniewierstwo Littlemana. Zdaje się, że tak jak i cały aktyw robotniczy, czytelnik za mało wie o sekretarce Nellie, która niespodziewanie przychodzi z pomocą robotnikom. Jej wystąpienie wydaje się raczej filmowym happy endem niż realnym umotywowanym psychologicznie czynem. zastrzeżenia te, nieliczne zresztą, wynikają, zdaje się, stąd, że w swojej powieści Ward chciał zmieścić (stały błąd debiutantów) zbyt bogatą galerię postaci, a wskutek tego nie zawsze stać go było na artystyczne ich pogłębienie. Te debiutanckie braki są z nadmiarem opłacone przez świeżość książki i nie zmniejszają wartości powieści, jednej z niewielu mówiących o ruchu robotniczym w Ameryce, o trudnościach, z jakimi się ten ruch boryka. Jest to odważny utwór wskazujący drogę, po której ruch ten pójdzie, utwór pisany z talentem i pasją.

Zofia Woźnicka

**) Estolv Ethan Ward — Renegat, Wyd. Czytelnik, 1953, tłum. Jan Meysztowicz, str. 500).*

ALICJA LISIECKA

PRAWDA O AMERYCE

KSIĄŻKA Clary Weatherwax „Będzie nas więcej" *), to szkic do wielkiego obrazu losów i walki amerykańskiej klasy robotniczej w okresie międzywojennym. Dwustustronicowa powieść, pozbawiona wyrazistej fabuły, ukazuje raczej fragmentaryczne słabo spojone ze sobą epizody i postaci — zawiązuje szereg konfliktów i wątków wymagających rozstrzygnięcia w jakiejś wielkiej epopei.

„Będzie nas więcej"...

Nas — to znaczy tych, którzy „żyjąc w zniszczonych, brudnych szopach, zbudowanych na palach" w pobliżu Tyc House, walczą z posiadaczami białych willi i letnich rezydencji jaśniepańskich. Nas — to znaczy tych, którzy stojąc wobec konieczności decyzji — wojna czy pokój — wybierają pokój; którzy ten wybór utwierdzają w codziennej, twardej robotniczej walce — walce dokerów i pracowników tartaków, robotników z fabryki chemicznej na Hawks Prairie i poławiaczy ślimaków z wybrzeży Pacyfiku.

O nich właśnie — o proletariacie walczącym — mówi powieść Clary Weatherwax, postępowej pisarki amerykańskiej, demaskującej nasilający się w latach trzydziestych proces faszyzacji życia społecznego w Stanach Zjednoczonych. Czytelnik C. Weatherwax znajduje w jej książce szeroki wachlarz problemów. Wachlarz jest często skromny w rysunku i barwach — razi niekiedy szarzyzną suchej faktografii, to znów naturalistycznymi przejaskrawieniami opisów. Ale prawda o świecie, ale elementy poznawcze obrazu C. Weatherwax przesądzają o wartości książki. Nagrodzona na konkursie postępowego czasopisma amerykańskiego „*New Masses*" powieść ta stała się istotną rewelacją literacką lat trzydziestych. W warunkach walki ruchu związkowego w Stanach, walki toczącej się niemal wyłącznie na płaszczyźnie ekonomicznej — internacjonalistyczna, rewolucyjna książka ukazująca płaszczyznę walki politycznej zasługuje na szczególną uwagę. Już w 1927 roku w rozmowie z I delegacją robotników amerykańskich Stalin zwrócił uwagę na małą liczebność ruchu związkowego w Stanach i słabość proletariatu amerykańskiego motywując ten fakt „słabością środków walki z kapitalistami w dziedzinie ekonomicznej" oraz zdradę polityczną przywódców, rekrutujących się „z arystokracji robotniczej", opłacanej przez burżuazję.

Powieść „Będzie nas więcej", ukazująca wszechstronną walkę proletariatu amerykańskiego, mówi o przełamaniu przekleństwa trade unionizmu, ciążącego na ruchu robotniczym Stanów, o odnalezieniu celu i sensu walki politycznej z faszyzacją. Książka ta jest także odpowiedzią na pesymistyczne wnioski społeczne naturalistycznej prozy amerykańskiej. Jest protestem przeciw brakowi wiary w zwycięską siłę amerykańskiej klasy robotniczej, protestem przeciw mitowi steinbeckowskiego „proletariatu tylko cierpiącego". W kontekście Caldwellów i Steinbecków, w kontekście pisarzy schodzących prędzej czy później na pozycje imperialistyczne, zastępujących coraz wyraźniej naturalistyczną deformację rzeczywistości świadomym jej zafałszowaniem — Clara Weatherwax reprezentuje kierunek biegunowo różny. Przy pewnym nasiąknięciu naturalistyczną peryferycznością i skłonnością do biologicznych wynaturzeń powieść nie zatraca realistycznej typowości i bojowego optymizmu.

Jest ponadto coś, co nie może nie uderzyć w książce amerykańskiej pisarki. To fakt niezwykłej aktualności problematyki, żywotności jej treści ideologicznej — mimo dwudziestu lat dzielących odbiorcę od poznawanych przez niego wydarzeń. Te same, znane dobrze dzisiejszemu czytelnikowi obrazy — pałki policjantów, koszmar Haarlemów i rozpętanej rasistowskiej nagonki, desperackie próby zażegnania kryzysu gospodarczego przez burżuazyjne rządy. W toku walki klasowej, w ponurym mroku kapitalistycznego świata krzepł i hartował się amerykański robotnik i inteligent odnajdując w tej walce wspólny język i wspólny nurt ideowy. Konsekwentna uparta walka z widmem grożącej wojny, rozpętanej przez imperialistów, była wyrazem dojrzewania tej świadomości. „Gazety są pełne gadaniny o tej gotowości (do wojny — przyp. mój) — mówi robotnik w powieści C. Weatherwax — pokazują filmy o przygodach żołnierskich, ale zwróćcie uwagę na to, że nigdy nie pokazują zmasakrowanych amerykańskich chłopaków, są ostrożni, cholera, i nigdy o tym nie piszą... Szykują się, żeby bezrobotnych przeznaczyć na mięso armatnie. Tymczasem ważniaki z forsą, którym gęby ociekają słodkimi słówkami o pokoju, trzymają ręce pod stołem, żeby w odpowiedniej chwili pociągnąć za sznurek i zacząć nową wojnę, bo chcą zarobić jeszcze więcej forsy. Karmią nas różnymi bredniami przez radio i w gazetach, żebyśmy tylko się nie domyślili, o co chodzi, ględzą o inwestowaniu zysków wojennych, a potem nic nie robią. Straszą nagłówkami w pismach, żeby nas zwieść. Jak nie szczekają o „czerwonym niebezpieczeństwie" to znów grożą „żółtym zalewem". — Cały czas wyją przeciwko czerwonej fladze z Moskwy, a właśnie Związek Radziecki jest jedynym państwem, które rzeczywiście pragnie zachować pokój".

Rezygnując z deklaratywności, z łatwizny ideologicznej C. Weatherwax nie uniknęła jednak omyłek artystycznych. Brak konsekwentnej fabuły, rozwijającej wszystkie rozpoczęte wątki, jest niewątpliwie poślizgnięciem się autorki, nie pozwalającym jej na dostateczne pogłębienie postaci. Wprowadzenie do powieści przedruków z prasy burżuazyjnej i robotniczej nadaje zdarzeniom cechy autentyzmu, ale stanowi znowu rezygnację z obrazu na rzecz suchej, reporterskiej relacji. Ponadto Weatherwax nie udziwniając przedstawianego przez siebie świata schodzi jednak niekiedy na peryferie życia społecznego szukając na przykład — jak w wypadku głuptasa i matki — zwyrodnień biologicznych. Skłonność do „marginesowości" można również dostrzec w szczególnym upodobaniu do wynaturzeń środowiska lumpenproletariackiego.

Obok tych potknięć książka obfituje jednak w momenty celne artystycznie. Jędrne i pełne niekłamanej pasji dialogi robotnicze, dowcipnie wplecione w tekst piosenki, a wreszcie głęboko realistyczne, całkowicie wolne od technicyzmu, niektóre opisy pracy (każda postać wnosi jakiś inny jej rodzaj) — stanowią bezsprzeczne osiągnięcie autorki. W społeczeństwie kapitalistycznym praca nie „uszlachetnia" człowieka. Jest udręką i smutną koniecznością. Sceny z życia poławiaczy ślimaków, robotników tartaku, roznosicieli gazet, wreszcie retrospektywny przegląd kolejnych zajęć Maria służą odsłonięciu istotnego charakteru pracy w ustroju wyzysku.

*

W momencie przygotowań do nowej wojny przez imperialistyczne rządy Stanów Zjednoczonych powieść „Będzie nas więcej" staje się orężem w rękach ludzi walczących o pokój, stanowi ponadto jeszcze jeden cenny dokument nieustannych zmagań i walki amerykańskiej klasy robotniczej. **Alicja Lisiecka**

**) Clara Weatherwax „Będzie nas więcej", Warszawa, 1952 r. — Czytelnik.*

DYZMA GAŁAJ

„NIE WSZYSTKO ZŁOTO, CO SIĘ ŚWIECI"

(W sprawie starego i nowego w pracach miczurinowców)

Mam przed sobą listy wielu praktyków miczurinowców, powiatowych inspektorów Upowszechnienia Wiedzy Rolniczej oraz kierowników gminnych bibliotek. Reprezentują oni na ogół wszystkie regiony Polski. Piszą o sobie, o swej pracy, osiągnięciach, aspiracjach, możliwościach, stosunku do otoczenia i na odwrót o zainteresowaniach. Zgłaszają projekty usprawniające pracę w omawianym tu zakresie, życzenia, a także prośby pod adresem naszej redakcji. Wypowiedzi potwierdzają fakt, że w nowej formie w ruchu miczurinowskim nie zawsze rozwija się nowa treść.

Oto kilka dowodów.

Większość kół miczurinowskich, a także pojedyńczych doświadczalników robi doświadczenia w zakresie sadownictwa i warzywnictwa. Poszukiwanie sposobów, by uodpornić na mróz grusze, brzoskwinie, morele, szczepić, hodować szkółki, szczepić pomidory na kartoflach i w ogóle zakładać sady i warzywniki, to najczęstszy temat doświadczalnictwa.

Pewna ilość kół prowadzi polówka zbożowe. Chodzi im przeważnie o wyszukanie najlepszego z istniejących już gatunków pszenicy, jęczmienia, grochu. Troska jest tu aż nadto prosta: potrzebne im jest takie ziarno, które podniesie plon z hektara.

Znajdują się również koła, które zadziwiają okolicę uprawą różnych roślin przemysłowych. Są tam najprzeróżniejsze oleiste z dynią, rzodkwią, kapustą na czele, jest tam sorgo, rączniak, ryż.

Niewielka część kół robi próby z pastewnymi. Znany szerokim rzeszom chłopów Kołtun Paweł z pow. Chełm Lubelski osiągnął ciekawe i znaczne wyniki w hodowli końskiego zęba.

Dodajmy do wyżej wymienionych kierunków doświadczeń nieliczne stosunkowo próby sprawdzające wartość nawozów sztucznych oraz próby uzyskania lepszych wyników w oborach, a będziemy mieli prawie komplet zainteresowań członków kół miczurinowskich.

Co w tych kierunkowych pracach jest *miczurinowskiego*, a co wstecznego?

Weźmy na początek sadowników i warzywników. Jeden z nich, ob. B. L. z ciechanowskiego, wykształcony sadownik ze sporym dorobkiem w sadowniczej praktyce, posiadający od dawna stosunki nawet z sadami dalekiej Kanady, członek spółdzielni produkcyjnej „zatapiający się — jak pisze — w dziełach Miczurina po polsku i po rosyjsku" skarży się, że ludzie nie interesują się sadownictwem, że autorytet jego słabo wzrasta, że „chciałby prosić władze o łaskawe wydelegowanie (go) do Związku Radzieckiego w celu zdobycia większych doświadczeń i przeniesienia ich do Polski dla chłopa" i wreszcie dochodzi ów wykształcony sadownik-spółdzielca do następującego wniosku: „Mój ogród i szkółki chciałbym oddzielić od spółdzielni i stworzyć spółdzielnię ogrodniczą i stację doświadczalną i przenieść do nas wiedzę radziecką i miczurinowską. Obecnie rządzą mną ludzie, członkowie niefachowi, często mi przeszkadzając".

M. K. 3-hektarowy chłop, chory, jest zamiłowanym sadownikiem. Czytał Miczurina, a potem założył koło. Wydajność drzew w jego sadzie jest duża. Ludzie przychodzą pytać o różne sprawy sadownicze. Działalności społecznej nie rozwija. Narzeka na brak pomocy fachowej, na aktywistów, których walor winien się przejawiać nie w języku, lecz w gospodarowaniu. O pracy w kole prawie nie pisze. Wiadomo jednak, że coś tam szczepia, starają się ulepszyć, przekonać ludzi, że sad w kulturze daje nad podziw duże dochody.

Takich sadowników jak M. K. jest wśród ruchu miczurinowskiego 90 proc. Jest między nimi i W. W. z pow. Wysokie Mazowieckie, który w 1946 r. otrzymał od państwa 100 tys. zł pożyczki i na powierzchni 2 ha zasadził 800 niskopiennych drzew owocowych. Sad prowadzony jest tak wzorowo, że wizytował go kiedyś nawet prof. Pieniążek ze swoimi asystentami.

Są i tacy, którzy w doświadczeniach prowadzonych przez siebie niczym nie różnią się od M. K., czy W. W., ale którzy nieco inaczej dostrzegają swoją rolę wobec *gromady*. Ob. D. J. po opisie bardzo skądinąd ciekawych doświadczeń z drzewami owocowymi pisze: „Założyliśmy kółko miczurinowskie i prowadzimy je na 20 arach dla gromady" — „w gromadzie z ciekawością przyglądają się naszej robocie. Większość uważa nasze kółko za początek spółdzielczości rolniczej i dlatego zajęła stanowisko ostrożne — wyczekujące. Z naszym zdaniem na zebraniach liczą się i prawie zawsze popierają nas, uważając nasze kółko za organizację pożyteczną".

Porównajmy te dwie grupy. Ob. B. L. z Ciechanowskiego prosi o wyjazd do ZSRR w celu pogłębienia wiedzy, a z drugiej strony źle mu w spółdzielni, bo go tam nie doceniają, kierują nim nie fachowcy. Twierdzi, że w spółdzielni nie ma miejsca dla ludzi z takim jak on wykształceniem, z taką wiedzą jak jego. Czy jego wysiłki sadownicze pozostają w zgodzie z tym, co dzieje się w Polsce, z tym, co narasta i budzi się coraz potężniej do życia na wsi? Czy jego praca pomaga w rozwoju nowego? Nie trudno stwierdzić, że jest odwrotnie. Jeśli przodujący chłopi-spółdzielcy nie okazują mu szczególnego szacunku za jego wiedzę ogrodniczą (a ma ją nie małą), to znaczy, że wiedza ta staje na przekór temu, co dla chłopów-spółdzielców jest najważniejsze, staje mianowicie przeciwko ustrojowi, przeciwko nowemu. Z końcowego wniosku ob. B. L. widać to zresztą wyraźnie. Źle mu, powiada, w spółdzielni, a komu w tego typu gospodarstwie jest źle?

I B. L., i M. K., i W. W., i wielu innych sadowników z kół miczurinowskich patrzy na świat, a widzi gruszkę, patrzy na gromadę i gminę, a widzi swój sad i szkółkę. Jeśli ich zapytać o życie drzew czy warzyw, wyjaśnią rzecz jak najdokładniej, ale ich świat, to własny sad, własny ogród, własny z niego dochód i osobista satysfakcja. Nie obchodzi ich fakt, że zamiast 10 kg owoców przypadających na głowę w Polsce winno przypadać ich co najmniej 50 kg i nie mają potrzeby myśleć o tym, co zrobić, by owoców było wbrod. Uspokajają się dużą wydajnością własnej jabłoni, czy śliwy. Oczywiście, duża wydajność własnego sadu to bardzo dużo dla kraju, ale znacznie więcej przysporzyłby dobra naszemu społeczeństwu ob. W. W. gdyby kontaktując się z prof. Pieniążkiem kierował nie 800 własnymi drzewami, ale 20 tysiącami w spółdzielni produkcyjnej.

Czy doświadczenia tego typu członków kół miczurinowskich reprezentują nowe? I tak, i nie. Tak, bo niewątpliwie zrywają z tradycyjnymi poglądami uważającymi za najlepsze drzewo owocowe gruszki polne na miedzach chłopskich pól, i nie. Nie, bo zaskarpiają uczestników doświadczeń w wąsko indywidualnych zainteresowaniach, zamiast wiązać ich z ogólnonarodowym procesem uspołeczniania warsztatów produkcyjnych, powodują proces odwrotny, proces tworzenia *reduty obronnej* gospodarstwa chłopskiego, która się broni przed ruchem spółdzielczości produkcyjnej mrozoodpornymi brzoskwiniami i szczepionymi na ziemniakach pomidorami, broni się podnoszeniem kwalifikacji specjalistycznych.

✣

Poletka zbożowe są prowadzone metodą dosyć tradycyjną. Szuka się na nich sposobów osiągania większych niż dotychczas urodzajów. A więc zainteresowania idą w kierunku gatunku zbóż, najbardziej odpowiadających danemu regionowi, a przede wszystkim pszenicy, sposobu siewu, nawożenia.

Ciekawe jednak, że wielu autorów listów oprócz samego doświadczenia mającego w konsekwencji podnieść wydajność z hektara stawia krok dalej i wyraźnie, jak np. S. S. z pow. Brodnica, stwierdza, że „podnieść produkcję rolną można przede wszystkim przez założenie spółdzielni produkcyjnej". Oczywiście samo doświadczenie na kilku metrach kwadratowych nie może nie doprowadzić do myśli, jak metody poletka zastosować na wielką skalę, jak podnieść produkcję na polach całej gromady czy powiatu. Ci z członków kół, którzy dochodzą do takich myśli i odpowiadają na nie, jak S. S. z Brodnicy — są miczurinowcami, ci zaś, którzy plecami odwracają się od tego jedynie słusznego w naszych warunkach drogowskazu, są ludźmi wczorajszego dnia mimo ich wysokiej nieraz wiedzy fachowej. Ich wiedzą bowiem nie jest wiedza walcząca o prawo do kierowania *szeroką praktyką*, o prawo rozwijania produkcji nie dla wystawy rolniczej, czy dla wypełnienia własnego śpichrza, lecz dla zaspokajania ciągle rosnących materialnych i kulturalnych potrzeb całego społeczeństwa. Są oni ludźmi na swoistym rozdrożu. Wyszli już z Ciemnogrodu, ale nie dotarli jeszcze do krainy zwycięskiej myśli ludzkiej. Niezdolni do życia po staremu, nie mają jeszcze sił i odwagi na pełne przyjęcie nowego.

Z pastewnymi prób jest niewiele, podobnie jak niewiele stosunkowo wysiłku wkłada się w ulepszenie metod hodowli inwentarza żywego. Kilka zaledwie listów mówi o walce w zakresie hodowli.

Ale znamienną jest rzeczą, że wypowiedzi hodowców np. bydła mają perspektywę nie tylko własnej obory. Ich aspiracje sięgają do wielkiej hodowli. Taki np. L. B. z pow. Szczecinek powiada: „Jestem jednym z tych, którzy walczą o szczęśliwe jutro i dlatego po żniwach jako doświadczony w hodowli bydła wstępuję do wsi produkcyjnej, aby służyć tam o większej wydajności mleka i chowie bydła, gdyż jako indywidualny rolnik nie wykorzystuję swoich doświadczeń w małym gospodarstwie". Jasne — kto powiedział „a", powie i „b". Kto zdobył szczególne doświadczenie, ten szuka form jak najbardziej efektywnego spożytkowania tych doświadczeń.

Oddzielne uwagi należą się uprawcom roślin przemysłowych. Jest rzeczą bardzo interesującą, że chyba na stu doświadczalników w tym zakresie 98 pochodzi ze spółdzielni produkcyjnych lub spośród młodzieży. Cóż to znaczy? To znaczy, że pielęgnacji kok-sagyzu, lnu, konopi, rączniaku, kapusty oleistej, rzodkwi oleistej, dyni oleistej itp. roślinom towarzyszy niewątpliwie myśl, że są to rośliny, których uprawa, wydajnością z jednostki powierzchni i jakością interesuje się nasze ludowe państwo. Świadczy to niewątpliwie o dynamicznej postawie członków koła, którzy swoje prace i osiągnięcia oceniają nie kategoriami własnego podwórka, lecz kategoriami ludzi związanych z państwowym planowaniem gospodarczym. Jest to wynik oddziaływania państwa na chłopów — niedawnych amatorów indywidualnego doświad-

(Dokończenie na str. 5)

BRONISŁAW GOŁĘBIOWSKI

„SWEGO NIE ZNACIE!"

(List otwarty do kol. Czesława Dziewońskiego z Jerzmanowic — pow. Olkusz)

DROGI Kolego!

List ten — jeżeli chodzi o termin — jest mocno spóźniony. Ale sprawa, którą w nim chcę poruszyć, jest ciągle aktualna.

Piszecie do nas w swej korespondencji o agresywnej polityce USA, o wypadkach na Korei, w Vietnamie, Egipcie, Tunisie, przy okazji omawiacie problem ucisku i wyzysku kolonij i krajów zależnych. Przeciwstawiacie dążeniom imperialistów kraje obozu pokoju ze Związkiem Radzieckim na czele, mówicie o wielkiej pomocy gospodarczej ZSRR dla krajów demokracji ludowej. Widać, że orientujecie się w polityce międzynarodowej.

Piszecie o naszym budownictwie socjalistycznym w kraju, o planie 6-letnim w ogóle i w rolnictwie, wreszcie o Pałacu Kultury, o Warszawie, o Nowej Hucie, o powstających szkołach, szpitalach itd. Widać, że orientujecie się w polityce naszego państwa.

Ale kiedy dochodzicie do spraw własnego terenu koniec z dobrą orientacją.

„Wioskę Jerzmanowice zaliczyć trzeba do wiosek postępowych w ogólności. Chłopi coraz częściej i liczniej stosują różne nawozy sztuczne, lepiej uprawiają ziemię... Chłopi jerzmanowiccy w ub. r. sprzedali państwu więcej zboża, ziemniaków i mleka, czy innych produktów rolnych niż tego od nich państwo wymagało".

„Jerzmanowice to wioska postępowa w ogólności". W jakich zatem szczegółach, jeszcze nie postępowa? Jak rozumieć sformułowanie, że chłopi częściej i liczniej stosują różne nawozy sztuczne? Czy częściej i liczniej w stosunku do czasów przedwojennych, czy w stosunku do roku np. 1951? Jakie nawozy, dlaczego i kto stosuje? Ile zboża, ziemniaków i mleka oraz ile i jakich innych produktów sprzedali ponad plan chłopi z Jerzmanowic? Kto sprzedał, dlaczego i kiedy? Brak tych faktów. A fakty to argumenty!

Piszecie: „Większość jerzmanowickich chłopów mało- i średniorolnych doszła do przekonania, że system gospodarki zespołowej jest bezwzględnie lepszy od gospodarki indywidualnej w rezultacie świadczyłoby to o tym, że już w niedługim czasie spróbują oni zorganizować pomimo niechęci i oporu niewielu zamożniejszych gospodarzy spółdzielnię produkcyjną." Większość doszła... w rezultacie świadczyłoby to... mimo oporu itd. Przypomina to nam tekst formularza, a gdzie opis? Bo kto jest przekonany i przez kogo? Jaki jest polityczny aktyw w gromadzie, zdolny rozegrać z wrogiem klasowym rozstrzygającą bitwę? Ilu tam macie „zamożniejszych"?, w czym się wyraża ich niechęć i opór? Rzucacie gromy ze słuszną pasją na spekulantów i kułaków „w ogóle", ale dlaczego nie charakteryzujecie działalności i sprawek spekulantów i kułaków jerzmanowickich? Demaskujecie szczekaczki amerykańskie w zupełnym oderwaniu od szerzycieli „Głosu" w Jerzmanowicach i okolicy. Czyż więc orientujecie się w przebiegu walki klasowej w Waszej wsi?

W liście nie piszecie ani słowa o Józefie Poganie, który w Jerzmanowicach urodził się, żył przez szereg najcięższych dla wsi polskiej lat przedwojennych i wydał o tych czasach kilka tomów opowiadań. Szczególnie pamiętnik „Na głodnym zagonie" stanowi kronikę wszystkich zagoniarzy jerzmanowickich. Znamy chałupę wdowy po wyrobniku, Kantorowej, na nowsiu, chatę dziumorgowca Stacha Łojewskiego i jego „cztery córki na wydaniu" rzucające losy o to, której przypadnie jako wiano stara krowina. Wiemy, że w kucce na Dębowej Górze szewc Jan Kantor ze starą matką, dwoma braćmi i kilku synami „bez soli jedli i po kału zamiast mydła używali". Pamiętamy obraz nędzy i upodlenia przed wojną Jędrka Mrozowskiego, który ...„bezustannie wywijał cepami nad swoją duszą u bogaczy — a nędza zamiast folgować, jeszcze się pogarszała. Motyką ciupał ziemię, taczką gnój woził w pole, a często nawet w workach z żoną go wynosili. Gnojówka ciekła im po plecach, ale trudno, nie było pieniędzy na najem konia".

Ci ludzie żyją przecież teraz w nowych Jerzmanowicach. Żyją ich dzieci, młode, wyrastające już w odmiennych warunkach pokolenie. Z takich zagoniarzy, nędzarzy i wyrobników „wywijających cepami nad swoją duszą u bogaczy" kimże się stali w Polsce Ludowej? Piszecie: stosują nawozy sztuczne, lepiej uprawiają ziemię, ponad plan odstawiają obowiązkowe dostawy, nawet w większości są przekonani do spółdzielni produkcyjnej. Pokażcie to! Ale pokażcie wychodząc od konkretnej przeszłości tych zagoniarzy, noszących przed wojną gnój na plecach. Pokażcie, u kogo z nich gra radio w izbie, jeżeli piszecie, że Jerzmanowice są w 50 proc. zradiofonizowane? Kto korzysta z założonej izby porodowej w Waszej wsi? Co oznacza dla nich powstanie Urzędu Pocztowego? Kto tu korzysta? Który z dawnych zagoniarzy i wyrobników pracuje w Spółdzielni Przemysłu Ludowego i Artystycznego „Jerzmanowianka" i co tworzy? To nie są drobnostki. Pokazać to, to znaczy pokazać, jak przeobraża się świadomość biedoty razem ze zmianą jej warunków życia, jak w Jerzmanowicach pogłębia się walka klasowa, jak rośnie socjalizm.

Znacie przysłowie: „Cudze chwalicie, swego nie znacie!"

Otóż Wy, chwaląc budownictwo socjalizmu w Polsce, nie widzicie, kto i jak buduje w Jerzmanowicach. Nie przemyśleliście nawet tradycji Jerzmanowic i nie znacie jej kronikarza. A Wasz kolega, aktywny zetempowiec, Jerzy Hlond, też z Olkuskiego pisał w liście do Pogana:

„Wasze książki zmobilizowały mnie do świadomego wejrzenia, chociaż w najbliższą tradycję chłopskiego życia w olkuskim powiecie, do pogłębienia wiedzy o kraju lat dziecinnych". („Wieś" Nr 2 — 1952).

A po co? Aby w walce nowego ze starym umieć trafnie widzieć, co konkretnie jest jeszcze w Jerzmanowicach stare, a co już nowe. Aby umieć działać i wpływać na przemiany w Jerzmanowicach, na przyśpieszenie w nich rewolucji.

Bronisław Gołębiowski

TALENTY JUŻ NIE GINĄ!...

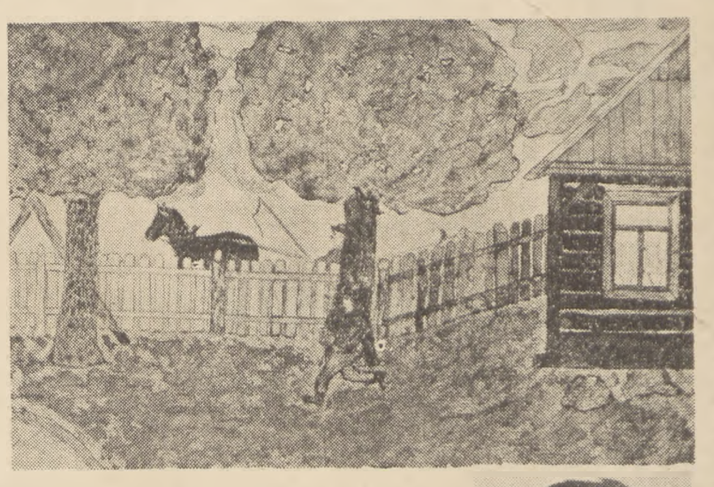

Któż nie czytał „Janka Muzykanta" albo „Antka"? W nowelach tych przekazują dawne lata oskarżenie ustroju kapitalistycznego. Oskarżenie na wąskim, ale jakże wymownym odcinku. Cóż bowiem bardziej wyraża w ludziach człowieczeństwo jak nie rozpłomieniająca się iskra talentu? W „Janku Muzykancie" i w „Antku" pisarze ukazali, jak kapitalizm grzebał talenty ludowe, jak dławił człowieczeństwo w ludziach ze wsi.

Dziś w setkach tysięcy listów chłopskich temat ten wciąż wraca, ale przy jakże innym rozwiązaniu. Nasza młodzież wiejska uczy się w szkołach średnich i na wyższych uczelniach. Rozwija tam swoje talenty. O tym mówią listy chłopskie.

Poniżej zamieszczamy rysunki jednego z tych, którzy dawniej pozostawali Jankami Muzykantami. Pierwszy rysunek ukazuje samorodną bazgraninę uzdolnionego chłopca. Urodził się on w Jarosławskiej wsi Szówsko w 1934 roku, w latach strajków rzeszowskich. Nazywa się Józef Nykiel. Po wyzwoleniu, ze szkoły podstawowej skierowała go kierowniczka do plastycznego liceum w Jarosławiu. Jakże prosty i zwyczajny zabieg. Prawda? Prosty i zwyczajny, ale dopiero w Polsce Ludowej. I jakie wyniki?

— Podrasta młody artysta-plastyk, rozwija swój talent, szkoli go czerpiąc natchnienie z tradycji malarstwa — jak sam pisze — Riepina, Gierymskiego i Milleta. W swoich rysunkach wraca do wsi rodzinnej, aby w rejonie największej niegdyś nędzy i zacofania wziąć — jako malarz — udział w walce nowego ze starym.

Niechże czytelnicy sami ocenią tę drogę, jaką przed talentami otwiera Polska Ludowa. Ta droga dziś rozniecа człowieczeństwo. Po niej krocząc dziecko wiejskie staje się artystą i bojownikiem o nowe, wreszcie ludzkie życie w naszej Ojczyźnie.

Józef Nykiel ukończył w czerwcu bieżącego roku liceum plastyczne, idzie na wyższe studia grafiki propagandowej. Tak sam zadecydował syn rzeszowskiej wsi.

REDAKCJA

HENRYK WORCELL

Nie tylko o moją - o naszą sprawę!...

(Dzieje III etapu Konkursu Czytelniczego, opisane wiernie w gromadzie Zdarzyce Dolne – część siódma)

NAZAJUTRZ po wieczorze u Puławskiej, zamiast zapowiedzianego przez żonę Mitręgi, zjawił się gość, którego wcale nie oczekiwałem — sołtys Pietrycki ze Zdarzyc Górnych. Ani mi brat, ani swat, ale niezupełnie obcy, bo nieraz z nim rozmawiałem w gminie, w pociągu, we wsi. Poznałem go pięć lat temu. Wówczas wybrano go sołtysem i jak słyszałem przez dłuższy czas pracował bez zarzutu. Przedwojenny sierżant, z zawodu stelmach, partaczył trochę przy poniemieckim warsztacie, trudnił się też warzywnictwem. Swoich reakcyjnych poglądów nie ujawniał dopóki się nie pokumał z Szyszką i całą resztą mniejszych szyszeczek. Z biegiem czasu nabierał coraz więcej śmiałości i pewności siebie, aż stał się tym, czym jest: wszechwładnym w swej gromadzie kacykiem i zaprzedanym sojusznikiem ciemnych mocy gnieżdżących się w Prezydium PRN.

Przyszedł do mnie z rana, na pół godziny przed odejściem pociągu do Żelaznej Wody — miał jechać do gminy. Wszedł jakoś niezgrabnie — w uśmiechniętej twarzy nie wiadomo co: gniew, ironia, pokora, lęk...

— Ja chciałem się pana o coś poradzić...

— Słucham...

— Niech mi pan powie, co trzeba robić, jak ktoś na mnie nalatuje, chce mi zaszkodzić, no... pisze na mnie do gazety różne głupstwa, a to wszystko nieprawda.

Nie chciałem udawać, że nie wiem, o co chodzi i pytać się, kto i co pisał, bo on przecież wiedział, że ja redagowałem list do „Chłopskiej Drogi". Istotnym chyba powodem jego wizyty u mnie była chęć wywiedzenia się, jakie sprawy w owym liście poruszono i czy niebezpieczeństwo grożące mu z tej strony jest wielkie. Poza tym liczył się i ze mną jako korespondentem, który może za dużo wiedział o Zdarzycach Górnych. Odpowiedziałem mu, że jeżeli rzeczywiście napisano kłamstwa, cszczerstwa, to trzeba cszczerców pociągnąć do odpowiedzialności sądowej.

— Tak, ale widzi pan, tu chodzi o to, żeby zawczasu... Pan wie, jak to jest: jak się wyjdzie na wieżę i rozpuści pierzynę, to już wszystkich piór się nie pozbiera. Zepsuć komuś opinię łatwo, ale naprawić... Moja gromada w powiecie najlepiej stoi, podatków pilnuje, skupu i co oni, świnie, ryją? Co ten Mitręga chce?

— Nie tylko Mitręga, tam więcej ludzi ma do was pretensje.

— Ja wiem, panie, kto podpisał...

— A kto panu powiedział o tym liście?

— To już moja rzecz, kto powiedział. Wiem, że Mitręga najwięcej kopie.

— On ma do pana żal o to gospodarstwo.

— A czy ja winien, że mu Rada Powiatowa nie chce załatwić? Jego wina, bo domu nie remontował, jeszcze może za to beknąć. A ja jestem w porządku, bo jakem dzierżawił pole, tom płacił za nie. O — wyciągnął z portfela jakieś papierki — tu mam kwity, nikt mi nie może zarzucić, żem nie płacił. A co do Topolskiego, to byli tu kiedyś z Dzierżanowa i jeszcze mu pochwałę dali za tego ogiera, że go dobrze utrzymuje. I co oni tam jeszcze panie, pisali?

— To już ich rzecz, co pisali. Zresztą, w swoim czasie na pewno się pan o wszystkim dowie.

— To ja i tak wiem. Ja się nie boję, ja mam dobrą opinię w powiecie i jak do czego przyjdzie, to Mitręga wsiąknie. Może mu pan powiedzieć, że ja też znam jego kawały, on też nie jest czysty. Każdy ma coś na sumieniu i niech on lepiej siedzi cicho, bo przegra.

— On już nie może siedzieć cicho. Czy może pan chce, żeby on napisał do „Chłopskiej Drogi" jakieś sprostowanie, czy jak?

— Co zrobi, to jego rzecz, ale niech mu pan powie, żeby się uspokoił, bo nie wygra. Narobi tylko niepotrzebnego szumu i sam oberwie.

— Słuchaj pan — zwróciłem się doń bardziej zły na siebie niż na niego — Mitręga będzie u mnie. Powtórzę mu to, co pan mówił. Tak, powtórzę. Niech się wyjaśni, kto tu winien: wy, czy oni. — I może pan być pewny, że ja sam do tego będę dążył.

Spojrzał na mnie z błyskiem zaciekawienia i niepokoju, zerknął na zegarek, podał mi rękę na pożegnanie i poszedł.

W południe zjawiły się dwie kobiety: stara Potyrałka i Krasicowa — matka przewodniczącego ZMP. Pierwszej napisałem podanie do Wojewódzkiej Rady w sprawie, o której mówiliśmy wczoraj wieczór, a z Krasicową była zupełnie inna historia: chodziło jej o maszyny rolnicze. Sołtys bowiem i jego poplecznicy zawsze uderzają tam, gdzie najsłabszy opór, więc i w tym wypadku, gdy chodziło o zdobycie maszyn dla Gminnego Ośrodka Maszynowego, zamiast szukać ich tam, gdzie one są naprawdę zbędne, jak np. u Podsiadłv gdzie i ludzi sporo do pracy, uderzyli we wdowę borykającą się na pełnorolnym gospodarstwie.

— Ośrodek dobra i ważna rzecz — mówiła Krasicowa — ale niechże zastanowią się, co robią. Kosiarkę i siewnik, to mi nawet przyznano na własność, mam akt nadania, a teraz mam je zdać do GOM? A syn pisał upomnienie do powiatu, to nawet nie odpowiedzieli.

— Zrobimy tak, że będą musieli odpowiedzieć. Wyślemy pismo do Wojewódzkiej Rady.

Ledwie skończyłem pisać i odprawiłem obie kobiety na pocztę, gdy nadszedł Mitręga.

— Co to, słyszałem, że Pietrycki u ciebie był? — zapytał od progu.

— Był i odgrażał ci się — odpowiedziałem z udaną surowością. — Bo zdewastowałeś dom i tam jeszcze inne rzeczy masz na sumieniu.

I teraz jedno z dwojga: albo wyślesz do „Chłopskiej Drogi" sprostowanie, że to wszystko, coście pisali, jest nieporozumieniem i że Pietrycki, to zasłużony aktywista, albo... no, albo będziesz wisiał.

Uśmiechnął się, usiadł:

— Nie, to już wolę wisieć.

— Żart żartem, ale powiedz prawdę: co masz na sumieniu?

— On mnie tylko o jedno może zaczepić, żem trochę poniemieckich, desek sprzedał. Ale to jest nic, dom na tym nie ucierpiał, przecież muru nie będę deskami podpierał. Zresztą, co to za gadanie? Choćbym nawet coś przeskrobał, to on mi przez to gęby nie zamknie.

— No dobrze, ale powiedz mi jeszcze jedną rzecz: gdyby on ci nie robił trudności ze zdaniem gospodarstwa, ruszyłbyś go, czy nie?

Pomyślał chwilę i rzekł:

— Myślę, że tak. Może nie teraz, może trochę później, ale ruszyłbym. Razem z Bednarczykiem i Lasoniem.

— Bo rozumiesz, przychodzą różni ludzie — ot, dopiero co były tu dwie kobiety, żeby im pisać skargi i wtedy każą pisać wszystko, co wiedzą. Ale przychodzą dopiero wtedy, gdy ich bieda przyciśnie, kiedy im ktoś zrobi krzywdę. Nieraz mam ochotę z krzykiem do nich: czemu dopiero teraz! czemu nie wcześniej! Przecież wiedzieliście, co się we wsi dzieje, toście patrzyli spokojnie, nie robili alarmu!

— Boją się ludzie...

— Nie powiedziałbym; nasi ludzie nie są strachliwi. Tu jest co innego: brak uspołecznienia, tego uspołecznienia w życiu codziennym, powszednim. „Niech się dzieje co chce, niech sąsiada woda zaleje, byłem ja miał spokój, byle mnie było dobrze". To tak, jak gdyby każdy sobie chciał budować tamę przed powodzią, każdy przed swoim ogródkiem, a przecież w ten sposób powodzi nie wstrzymają.

— To prawda — przyznał Mitręga — to wedle tego, co czytałem to... oportunizm. A masz jeszcze jeden kwiatek. Pietrycki odmówił nauczycielce Jasińskiej swego udziału w konkursie.

Mówił przed sklepowym, że jak się zmieni sytuacja, to taki paplerek...

— Aha — przypomniałem sobie — słyszałeś o aresztowaniach w powiecie?

Nie, nie słyszał, więc opowiedziałem mu. Zrobiło to na nim wielkie wrażenie i podniosło na duchu.

— No widzisz — powiedziałem — twoja „Republika Dziewanowska" daje sobie radę.

— Ano, spróchniały ząb wyrwano, ale korzonki jeszcze siedzą. Ciekawym, kto wejdzie na miejsce Boczarskiego i Hryńczuka? Słyszałem, że Partia w powiecie bierze się do roboty, krytykuje ostro.

W ciągu następnych paru dni nic nadzwyczajnego nie zaszło. Tylko Pietrycki zwijał się jak w ukropie, codziennie widziałem go, jak zdążał do pociągu lub wracał od stacji — jeździł do gminy, do Szyszki, do swoich protektorów. Widziałem go też w towarzystwie sołtysa Grubego, kowala Piwnickiego i gminnego instruktora rolnego Smoczka, o którym nie zbyt pochlebne opinie obiły mi się o uszy! w czwórkę stali przed kuźnią i o czymś nader żywo rozprawiali rzucając w moją stronę nieprzyjazne, zamaskowane jakby spojrzenia.

Wreszcie czwartego dnia Pietrycki znów zjawił się u mnie.

— No i co, mówił pan z Mitręgą? — zapytał dość obcesowo.

— Mówiłem. On panu radzi, żeby sobie pan z nim porozmawiał na *zebraniu gromadzkim*. Z nim, z Bednarczykiem, z Lasoniem, z Musiałkiem, Bryją i tam jeszcze innymi.

— Aha... Pietrycki jakby się cofnął — no to ja też potrafię Mitręgę usadzić. I temu złodziejowi Bednarczykowi też gębę zamknę. Pan myśli, że ja nie wiem, kto świnię Sznajcowi ukradł? A po buraki kto po nocy do majątku jeździł? Panie, to się wszystko wyjaśni — zakończył takim tonem, jak gdybym to ja właśnie po owe buraki jeździł.

— Macie na to dowody?

— Mam. I jak będzie trzeba...

— Aha, jak będzie trzeba... A dlaczego pan wcześniej tego nie ujawnił? Czemu pan ukrywał przestępstwa? Cóż z pana za *sołtys*?

— Bo ja nie chcę nikomu szkodzić, nie chcę, żeby ktoś na mnie narzekał. Ale jak ktoś jest świnia i pode mną ryje...

Trudno z tym człowiekiem rozmawiać, trudno bić w niego argumentami, powoływać się na jakieś zasady moralne. Zniecierpliwiony machnąłem ręką i odszedłem do okna.

— Tak?... To znaczy, że cudze grzechy służą wam dla zabezpieczenia własnych. Nie... na święty spokój więcej nie liczcie, będziecie przed gromadą odpowiadać.

Henryk Worcell

JAN WYKA

Wierzby nad Wisłą

Na mazowieckiej, wyciętej równinie
myślom odważnym najlepiej się rośnie.
Może sąsiedztwo Warszawy wierzbinie
do szumu wlewa pieśń o nowej wiośnie.

Wierzby Mazowsza są mędrsze, dojrzałe,
w piasek, gdzie wgryźć się, uczepić najtrudniej,
wplotą się, rosnąc z upartym zapałem,
a przy pniach szorstkich Wisła wodą dudni.

Gdy wierzba szlocha — przeszłe pod wichurą
wracają męki, głód cierpi, przednówek,
harówka, ziarno w folwarcznych pazurach,
głodnych dziecięcych rój spragnionych główek.

Toteż napina liście struną ostrą
i dumki snuje jak trzmiele na łące,
opowieść nuci strajków w głodnych wioskach,
dlatego ją tu nazwali płaczącą.

Dziś ci zanucą, że Wisła da ogień,
paliwo płynne, zebrane w zaporze,
węgiel wiślany wsie oświetli, drogi,
koparka zębem piaszczysty grunt zorze.

Że im już nie stać przy ścieżkach, na miedzy,
gdy traktor złączy spółdzielcze zagony.
Oto spółdzielczej krótki wykład wiedzy
w szumie listowia, co się chatom kłoni.

Rys. Bogdan Butenko

WACŁAW SMOLAK

ZETWUEMOWCY*)

ZDZISŁAW przyjechał założyć w Osowie koło ZWM. Przed zebraniem chodził do wielu domów. Gospodarze znali go, rozmawiał z nimi o gospodarce, bandach i wydarzeniach politycznych. Młodych chłopów przekonywał o konieczności zorganizowania koła ZWM. Spotykał się przeważnie z niechęcią. Kiedy mówił o możliwościach nauki, nie chcieli słuchać. Co im da szkoła? Buty czy palto? Gospodarzyć można bez nauki.

W jednym domu Zdzisław zastał chłopca nad zeszytami powieści: *Tajemnica zamku Sewilla* de Rodriganda, w innym dziewczyna czytała rodzinie na głos książkę Courts-Mahlerowej, a na stole leżał „Czarny ląd" Marczyńskiego. Młodzież zachłystywała się sensacyjnymi powieściami, cieszyła się każdym zabitym z colta Indianinem, płakała nad tragedią zawiedzionego kochanka..

Wieczór zapadł, gdy Zdzisław wrócił do matki. Postawił rower, przełknął kolację i poszedł do kierowniczki szkoły.

Panią Onucińską zastał w jej mieszkaniu szkolnym. Miała jeszcze tuż przy szkole własny domek. Mąż jej pełnił funkcję sołtysa. Pokój w szkole, prawie komfortowo umeblowany, mówił o ich zamożności.

— Chciałbym omówić z panią możliwości zorganizowania we wsi Koła ZWM — zaczął Zdzisław. — Pani i mąż cieszycie się zaufaniem ludzi, przyszedłem więc prosić o pomoc.

— Koło ZWM? — spytała Onucińska, jakby nie dosłyszała.

— Tak, Koło Związku Walki Młodych.

Onucińska zamyśliła się rzucając na Zdzisława badawcze spojrzenia.

— Ja także myślałam o zorganizowaniu koła, na przykład świetlicowego — odpowiedziała — ale doszłam do wniosku, że praca moja nie da żadnych rezultatów. Okupacja zdemoralizowała młodzież i jest ona dla nas stracona.

— Nigdy się z tym nie zgodzę — zaprotestował żywo Zdzisław. — Dorosłych ludzi można wychowywać, a tym bardziej młodzież. Teraz piją, bo nie mają żadnych rozrywek. Gdy założymy świetlicę, pójdą do niej.

— Nie przekona mnie pan — przerwała mu nauczycielka, Zdzisław umilkł. Nie zamierzał rezygnować z pomocy pani Onucińskiej. Chciał, żeby była przynajmniej na zebraniu i powiedziała kilka słów do młodzieży.

— Nie pomoże mi pani? — spytał wprost.

Zawahała się. Bała się manifestować swoje poglądy polityczne.

— Jakiej pan żąda pomocy?

— Chcę prosić o pomoc w zorganizowaniu młodzieży i opiekę nad nią.

— Próbowałam tego i więcej nie zamierzam psuć sobie zdrowia.

— Ale na zebranie pani przyjdzie?

— Na zebranie... — namyślała się złorzecząc w duchu uporowi tego peperowca.

— Odbędzie się w szkole, tylko kilka kroków — nalegał Zdzisław.

— Przyjdę — odpowiedziała nareszcie.

Zdzisław wstał.

— Bardzo dziękuję. Zajdę po panią.

— Dziękuję, trafi sama.

Kunicki wyszedł.

W sali szkolnej nie było nikogo. Zapalił zapałkę i przy jej świetle szukał lampy. Wiedział, w którym miejscu na ścianie wisiała, lecz jej nie znalazł. Wrócił do szkolnego mieszkania Onucińskiej, drzwi jednak były już zamknięte. Domyślił się, że usiłowano mu przeszkodzić w zwołaniu zebrania. Wyszedł na podwórze i tu spotkał sołtysa. Spytał go o lampę.

— Jest w klasie — odpowiedział Onuciński. — Powiesiłem ją przed pół godziną na ścianie.

— Chodźmy, poszukamy razem — powiedział Zdzisław, choć wiedział, że jest to bezcelowe.

— Ktoś ją ukradł — powiedział sołtys rozejrzawszy się po sali szkolnej.

— Może żona zabrała do domu?

— Na pewno nie.

— Może pan pożyczy swojej?

— Jedną tylko mamy, będzie nam potrzebna.

Zdzisław postanowił pójść po lampę do matki. Zaraz jednak rozmyślił się i udał się do domu sołtysa.

Chciał spotkać nauczycielkę i upewnić się, że przyjdzie na zebranie. W kuchni zastał służącą i obie lampy — sołtysa i szkolną.

— Pani nie ma? — spytał Zdzisław.

— Nie. Pewno wyszła do sąsiadów. Potrzebuje przecież po pracy porozmawiać.

— Owszem, owszem — przytaknął z uśmiechem Zdzisław. — Chciałem zabrać lampę do szkoły.

— Zaniosę sama.

Szła przodem, zasłaniając ręką światło przed lekkim wietrzykiem.

— Ja też przyjdę na zebranie — oznajmiła służąca. — Ciekawe posłuchać, o czym będą mówić. Pan dał mi na wieczór dużo pracy, ale się uwinę.

— Chciałbym, żeby zostało u was zorganizowane koło młodzieży — odpowiedział zamyślony.

— Czy to będzie czas chodzić na to — zmartwiła się, lecz zaraz wesoło zaśmiała się. — Zresztą czas się znajdzie. Jak będzie we wsi takie koło, to i zabawę można zrobić i przedstawienie... zapiszę się.

— To powiedzcie o tym na zebraniu kilka słów, że to i zabawa, i przedstawienie. Dobrze?

— Przecież pan o tym powie.

— To nic. Oni was znają i lepiej zrozumieją.

Zdzisław usiadł w ławce, oparł się łokciami na pulpicie i wsparł głowę na dłoniach. Szukał słów, którymi miał przemówić do młodzieży, tak aby go zrozumiała. Szukał przykładów ze wsi, aby pokazać jej, ile czasu marnuje niepotrzebnie, i udowodnić, że pożyteczniej spędzi go w świetlicy, którą można zorganizować w poukraińskim domu (znalazł już odpowiedni i chciał go im wskazać).

Młodzież przyszła rozmawiając głośno. W progu wszyscy zatrzymali się i umilkli. Wahali się.

— Wejdźcie, proszę — Zdzisław zapraszał ich do środka. Był uradowany.

Witali się z nim w milczeniu. Siadali na ławkach i palili papierosy kręcone z samosiejki. Przychodzili inni. Kilku chłopców przysiadło się do dziewcząt. Szczypane przez kolegów, chichotały zawstydzone przy wtórze ogólnego śmiechu. Minęły niemal dwie godziny, zanim zeszli się wszyscy. Brakło tylko Onucińskiej. Ostatni przyszedł jej mąż i oznajmił, że żona zachorowała.

*

Czy są jakieś pytania? — zwrócił się Zdzisław do zebranych po zakończonym przemówieniu.

Długo nikt nie przerywał ciszy, a potem burza głosów zerwała się nagle na okrzyk pijanego mężczyzny z kąta sali. Wszyscy wstali. W świetlicy rósł gwar. Słowa wytryskiwały z tłumu i oskarżały nie tylko jego, lecz ustrój, rząd, Związek Radziecki. To Rosja winna, że jest jeszcze ciężko. To Żydzi są temu winni. Mówił o tym ksiądz, a jemu trzeba wierzyć. Tłumaczył bogaty gospodarz, który do szkoły chodził, uczony, wie o wszystkim. Twierdził tak Jastrząb, a to zasłużony człowiek, za Niemców także był w partyzantce. A do kołchozów nikt nie pójdzie, bo biedy nie chce. Nie, nikt nie chce Związku Walki Młodych ani komunizmu. Niech ludziom ze wsi dadzą spokój...

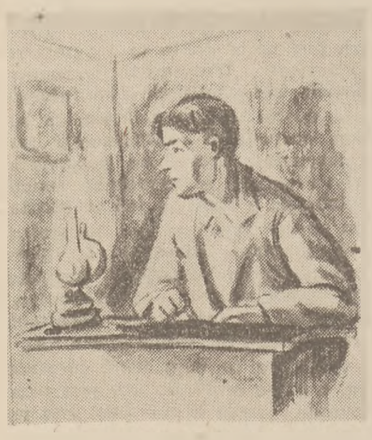

Powoli się uciszało. Teraz wszyscy skierowali wzrok na Zdzisława. Czekano, co powie.

A jego dusiła wściekłość na ich ciemnotę. Łzy cisnęły się do oczu i wytężał całą wolę, aby się uspokoić.

Mówił po kolei o bogaczu, księdzu i Jastrzębiu. Kobuskę spytał, z czyjego zboża jadła chleb rok temu. Wiedziała, że z radzieckiego i nie mogła zaprzeczyć. Nie mogli też zaprzeczyć, że bogacz jadą biały chleb z kiełbasą wtedy, gdy im brakuje zboża na zasiew. Antka spytał, ile ksiądz wziął za jego ślub. Ten się trochę wstydził, lecz przyznał, że zapłacił 500 zł i 2 metry pszenicy. Jakby dopiero zrozumiał, że to dużo, sapał oburzony na tę zachłanność. O Jastrzębiu Zdzisław mówił najwięcej, chciał poderwać mit o nim.

Gdy skończył, wiedział, że na sali ma wielu przyjaciół. A kiedy spytał, kto wstępuje do organizacji, spośród około 60 osób podniosło się kilkanaście rąk. Zdzisław zaczął rozdawać deklaracje.

Sołtys stał oparty o ścianę. Kunicki widział błysk radości w jego oczach wtedy, kiedy tłum go zasypywał pytaniami. Potem zauważył, jak Onuciński zacisnął usta, kiedy pod wpływem jego słów część młodzieży zawahała się. Stał z rękami założonymi na piersiach i groził młodzieży spojrzeniem, zwłaszcza zaś służącej, która wyciągała rękę po deklarację.

— Jestem starszy i doświadczony — przemówił wreszcie Onuciński. — Wiem, że co nagle, to po diable. Nie zaprzeczam, że ZWM to dobra organizacja. Ale wszystko trzeba przemyśleć. Zastanowicie się. Zdążycie się zapisać jutro. Tylko tyle.

Starsi potakiwali: „A jakże, prawdę powiedział", potem jedna z dziewcząt zwróciła deklarację. Wkrótce druki znalazły się z powrotem na stole. Służącej sołtys kazał iść do roboty. Za nią wyszli inni. Pozostało tylko ośmiu chłopców, którzy oddali przewodniczącemu wypełnione deklaracje. Wybrali zarząd Koła i odbyli od razu pierwsze posiedzenie, na którym omówili plan pracy.

Kunicki z zebrania wyszedł zadowolony. Dzisiaj odniósł zwycięstwo: Zorganizował po raz pierwszy koło ZWM. Na chodniku stała gromada chłopców. Zawahał się na chwilę. Nieraz ze wsi przywożono wpółżywych aktywistów. Jeden z mężczyzn wysunął się naprzód. Zdzisław wiedział, że lęk go może zgubić, i opanował się. Szedł prosto na grupę ludzi.

— Daj spokój. Ma pistolet — zawołał któryś półgłosem.

Zrobili mu przejście. Kunicki wyjechał do Włodawy, ale w nocy mańce wybito w oknach wszystkie szyby.

Wacław Smolak

**) Fragment powieści mającej ukazać się nakładem Państwowego Wydawnictwa „Iskry".*

Kronika Radziecka

70-lecie urodzin Gładkowa

ZNAKOMITY pisarz radziecki, Teodor Gładkow, znany szeroko wśród milionowych rzesz czytelników obozu postępu na świecie, czytany i ceniony również w Polsce, ukończył 70 lat.

Teodor Gładkow urodził się 20 czerwca 1883 r. we wsi nadwołżańskiej w rodzinie biedniackiej. W r. 1901 ukończył szkołę powszechną, później Instytut Pedagogiczny. Pracował jako nauczyciel najpierw na Syberii, później na Kubaniu. Wcześnie związał się z ruchem leninowskim, niejednokrotnie był prześladowany. W 1920 roku wstąpił do partii.

Droga pisarska Gładkowa rozpoczęła się w r. 1899. Na talent pisarza zwraca uwagę Gorki, wielki doradca i wychowawca proletariackich pisarzy. W okresie przedrewolucyjnym talent Gładkowa rozwija się w kręgu wydawniczo - wychowawczej pracy autora „Matki". Gładkow bierze udział w wydawnictwach bolszewickich i w redagowanej przez Gorkiego „Kronice".

Pierwsze utwory Gładkowa obrazują życie proletariatu, jego niedolę w ustroju kapitalistycznym i podjętą walkę z wyzyskiem. Miłość do ludu, wiara w rewolucję i wyzwolenie — oto źródła natchnienia Gładkowa.

Jednakże talent Gładkowa rozwija się bujnie dopiero po Październiku. Wielka Rewolucja Socjalistyczna zwielokrotniła zalety pióra Gładkowa otwierając przed proletariackim pisarzem obszary nowej historii, ukazując wielkość tematyki walki o budownictwo socjalistyczne.

W 1925 r. ukazał się głośny „Cement" Gładkowa, powieść o wielkiej pozycji w literaturze realizmu socjalistycznego. „Cement" i w Związku Radzieckim, i dla robotniczej walki w kapitalistycznym świecie odegrał olbrzymią rolę: uczył, co może przynieść budownictwo socjalistyczne, jakie perspektywy otwiera przed człowiekiem. Po raz pierwszy ukazana została potęga wyzwolonej prasy. Klasa robotnicza wystąpiła w powieści jako siła budująca nowy ustrój i nowe formy życia.

Naczelny bohater powieści — Gleb Czumałow, wraca z frontu do zakładu pracy, w którym kiedyś pracował i który teraz dźwiga się z ruin własną pracą i ofiarną miłością. Roboty wiele i to wśród uporczywej, trudnej walki! Trzeba było przezwyciężyć bierność robotników, którzy zatracili więź z kolektywem, należało unieszkodliwić sabotaż tej części starej inteligencji, która nie przyjęła Rewolucji i przeszła na pozycje wroga klasowego. Czumałow podejmuje walkę o odbudowę fabryki. W złożonych warunkach konfliktów antagonistycznych (działają niedobitki klas posiadających, odzywają się burżuazyjne pozostałości w psychice robotników), Czumałow występuje jako umiejętny organizator życia mas, wychowawca, bolszewik. Fabryka rusza — jest to symbol triumfu młodych sił budujących nowe życie. Pisarz pokazał znakomicie, jak w procesie walki o odbudowę fabryki łamie się wszystko, co stare i przeżyte, a zwycięża nowe. Pod tym względem „Cement" jest pierwszą powieścią radziecką, odtwarzającą wpływ wyzwolonej pracy na kolektyw robotniczy, charakter człowieka. Książka ukazując przodowników pracy piętnuje jednocześnie oportunizm i biurokratyzm, który potrafił zakraść się nawet do szeregów partyjnych. „Cement" podejmuje walkę o czystość szeregów partyjnych. W powieści po raz pierwszy odmalowana została postać nowej kobiety radzieckiej — Daszy.

W latach 1932—1938 tworzy Gładkow „Energię", powieść o budowie Dnieprostroju. Pisarz odsłonił tutaj zdobycze klasy robotniczej w zakresie opanowania techniki. Budowa Dnieprostroju w oparciu o technikę socjalizmu, kształtujące się w tym kręgu stosunki między ludźmi — wypełniają treść książki. Opisując pracę kolektywu Gładkow umiał ukazać kierowniczą rolę Partii. Jednakże „Energia" nie uzyskała takiej popularności jak „Cement". Krytyka zarzuciła „Energii" pewną wtórność w stosunku do poprzedniej powieści.

Inne pozycje Gładkowa: „Koń ognisty" (1923), „Krwią serca" (1928), „Głowonogi człowiek" (1928) i „Pijane słońce" (1927). Jednakże powieści te nie osiągnęły tego znaczenia i poziomu artystycznego w zakresie realizmu, właściwego „Cementowi".

W okresie Wielkiej Wojny Narodowej Gładkow napisał powieść pt. „Przysięga" (1944), odtwarzającą bohaterstwo ludzi radzieckich i moralne zespolenie frontu z zapleczem.

Idąc śladami autobiografii Gorkiego Gładkow opublikował w ostatnim czasie dwie powieści „O dzieciństwie" (1949) oraz „Wolność" (1950). W obu sięgając do własnych wspomnień połączył mistrzowsko wątek autobiograficzny ze znakomitą epopeją ludu rosyjskiego końca XIX wieku. Gładkow w sposób godny najlepszych klasyków rosyjskich realistów pokazał przedrewolucyjną wieś rosyjską, jej ciemnotę i zacofanie, ale i upartą walkę wolnościową. Krytyka uważa ostatnie powieści Gładkowa za koronę jego twórczości. Obie otrzymały premię stalinowską w uznaniu wysokich wartości ideowo-artystycznych.

Grzegorz Timofiejew

ADAM SAR

ROZMOWY ZE STRÓŻEM SMALERĄ

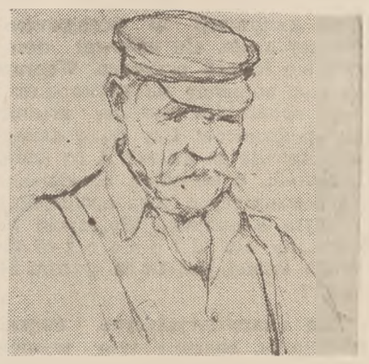

(Fragment opowiadania przygotowanego dla Lud. Spółdz. Wydaw.)

SIEDZIMY oparci plecami o drucianą siatkę kurzej fermy, pełnej pisku uganiających się w wysokiej trawie kurcząt. Widać stąd dobrze całą spółdzielnię. Słońce przesunęło się już dobrze na drugą stronę i cień spółdzielczego kurnika zaczyna przełazić przez siatkę. Piętrowy magazyn błyszczy oknami ku słońcu, lśnią szyny nowomontowanego dźwigu. Zdejmie on z ludzkich grzbietów ciężar dźwiganych worów. Z lewej strony alei wysadzonej czarnymi bukami czerwienią się mury nowej obory. Z prawej — symetryczna grupa domków podobna do małego osiedla w powiatowym mieście.

W podwórzu cicho. Kobiety przy pieleniu warzyw w ogrodzie; czasem między gałęziami błyśnie bielą chustka. Mężczyźni na łąkach Koszą. Tylko w drzewach, które ocalały z pańskiego parku, odzywa się niezmordowana kukułka, czasem zagwiżdże wilga, albo zagrucha dziki gołąb.

Smalera ma duże wąsy, czerwoną ogorzałą twarz i spokojne oczy. Co chwila spogląda na krowy, które pasą się na obszernym podwórzu. Pilnuje, bo o szkodę nie trudno. Nie przeszkadza mu to jednak rozmawiać.

— Iii, za dziedzica tyż ludzie żyli. Pracować wszędzie trza.

Zaskoczył mnie tą wstępną odpowiedzią. Wszak w Komitecie Powiatowym Partii w Opatowie powiedziano mi o Gierczycach.

— Porozmawiajcie, towarzyszu, ze Smalerą. On wam najlepiej opowie, jak żyli tam ludzie przed wojną, jak sam żył. Nawet dziedziczka się litowała i dawała stare sukienki, żeby dzieci okryć. Spytajcie go, jak żyje teraz...

...A tu masz — „Iii, za dziedzica tyż ludzie żyli...“

Zajeżdżam więc starego z innej strony. — Byliście na ordynarii?

— Tak, przy koniach.

— Ile otrzymywaliście na rok?

— Czternaście metrów zboża. Żyto, pszenica i jęczmień — odpowiada bez zająknienia natychmiast, jakby te czternaście worków miał przed oczami. — Dwieście pięćdziesiąt prętów ziemi pod ziemniaki i pięćdziesiąt pod mieszankę dla krowy. Później, jak dzieci podrosły, bywało i więcej, bo wychodziły na dniówkę.

— Dzieci było dużo?

— Siedmioro.

Siedmioro dzieci i czternaście metrów zboża na rok. Czyli nie starczało nawet chleba. Porównuję jeszcze to, co mówi Smalera, z opowiadaniem Żmudziny, żony przewodniczącego spółdzielni.

Smalerówna, ta, co przede święty za Sułkowskiego wyszła, aby zza węgła wyglądała. Siedemnaście lat dziewusze szło, czas już było do ludzi, a tu ubrać nie ma się w co. Sukienczynę miała jedną. Dzieci nie mieli czym odziać. Bieda była jeszcze i przez to, że starzy nie umieli ani czytać, ani pisać. Kazimierz to się teraz choć podpisz, bo ich nauczyli, ale Smalerowa nawet pieniędzy dobrze nie znała, a rachować ani ani i często gęsto w sklepie ją oszukali. Oni dopiero teraz, w spółdzielni odżyli.

Smalera nie mówi więc prawdy. Ale dlaczego?

Słońce obniża się coraz bardziej. Wydłużają się cienie świerków i lip. Znad szlamowanego stawu dobiega coraz głośniejszy rechot żab.

— Dużoście wypracowali? — pytam po długim milczeniu. Wiem, że Smalera był przodownikiem pracy otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi, ale prorokuję. — Wy tu najstarsi, to może za młodymi nastarczyć wam trudno?...

— Nie nastarczę? — Osiemnaście metrów samej pszenicy dostałem. Dwanaście metrów żyta. Dziesięć jęczmienia i dziesięć owsa. Ziemniaków kilkadziesiąt metrów. Do tego ze trzy ćwierci cukru i gotówka.

— To pewno cała rodzina na to pracowała?

— Gdzie tam. Ja sam. Żona i córka dostały swoim porządkiem. Teraz robimy tylko we dwoje, bo córka za mąż wyszła. Pracuje z chłopem także w spółdzielni.

— W spółdzielni już wydawaliście?

— A jakże.

— Zięć o majątek się nie pytał?

W opatowskim powiecie, gdzie każdy skrawek ziemi ceniony był na wagę złota, ziemia kojarzyła małżeństwa. Morgi były jego fundamentem. Rejent ważniejszy od księdza, a zapis od cnót i urody. Tak było dawniej.

— A po co? Roboty mu brakuje, czy jak? Ziemia jest przecież w spółdzielni. Na zebraniu pytali ich tylko, czy chca działkę przyzagrodową. Zięć mieszka razem z matką, więc powiedział, że działki nie chce.

Wesele za to sprawiłem na całą okolicę. Ludzie mówili, że lepszego nie sprawiłby gospodarz na trzydziestu morgach. Trzydzieści i dwoje ludzi było na weselu. Trzydzieści i dwoje...

Smalera zamilkł. Zaciągnął się papierosem. Może w tej chwili przypomina sobie i porównuje najokazalsze wesela w okolicy, wesela najbogatszych gospodarz z Gierczyc, Kaliszan, Rosochów, Brzezia. Pamięta je na pewno. Kiedyś uroczystości weselne należały do rzędu widowisk. Innych poza jarmarkami i odpustami nie było. Fornal zresztą na jarmarki nie jeździł. Dzisiaj w w Gierczycach jest stałe kino wiejskie, w którym filmy wyświetla się dwa, trzy razy w tygodniu. Syn Smalery, Józef, mechanik, który równie dobrze zna się na pomowskiej snopowiązałce jak i na aparacie projekcyjnym jest kinooperatorem. Ot, w przeddzień mojej rozmowy z Kaźmierzem, bo tak Smalerę-ojca nazywają w spółdzielni, wyświetlano naukowy film dla matek, jak ustrzec dzieci przed wypadkami. Z tego nawet powodu kobie-

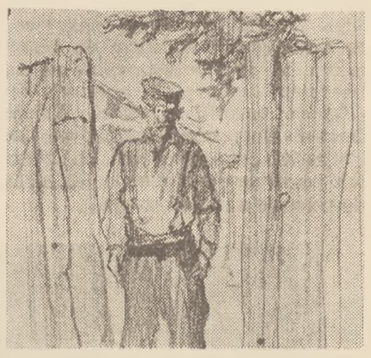

ty spóźniły się na zebranie spółdzielcze. Staszewska, jedna z bojowych kobiet gierczyckiej spółdzielni, tłumaczyła się, że chciała także ten film zobaczyć, choć ma dzieci dorosłe. „Nigdy nic nie wiadomo“ — powiedziała chytrze mrugając na mnie.

— Jak z tego widać — wracam do początku rozmowy — to jednak w spółdzielni wiedzie wam się lepiej, choć przed wojną dziedzic nie należał do ostatnich.

— Co tam równać — odpowiada Smalera i śmieje się cicho, z zadowoleniem, jak ktoś, komu udało się spłatać dobrego figla.

✻

— Po co wam stróż w spółdzielni? Ludzi do roboty macie przecież za mało — zagadnąłem Smalerę na drugi dzień po naszej pierwszej rozmowie.

— Niepotrzebny, mówicie... Pewno, że przydałbym się w robocie. Ludzi w samej rzeczy nie ma za dużo. Trzeba jednak do obory zajrzeć, czy krowa się z łańcucha nie urwała, czy konie się nie poplątały. Ale nie to najważniejsze... Jak się tak patrzy na wieś, to człowiek myśli, że cichutko, spokojnie...

Mimo woli spojrzałem na wieś. Rzędy stodółek i stodół widocznych od tej strony. Cicho.

— Dwa lata temu, w pierwszym roku powstania spółdzielni, wybuchł pożar. Zapaliła się sterta wyki nasiennej, choć sterty nigdy nie zapalają się same. Sterta stała niedaleko podwórza, w bliskości pomowskiego magazynu z materiałami pędnymi. Bo POM rozrastał się wówczas tak samo jak gierczycka spółdzielnia i okresowo korzystał z naszej gościny. Straty mogły być większe i na nie widocznie liczył sprawca, ale wiatr rozmyślił się i zaczął wiać w przeciwną stronę.

Smalera nie uważa więc swojej pracy stróża za gorszą od zeszłorocznej, kiedy to był przy krowach, mimo, że za osiągnięcia w oborze otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi. Pierwszy Krzyż w Gierczycach.

— Niby cichutko, niby spokojnie...

— Czy wiecie, jak to było ze Żmudziną? Kiedy do spółdzielni zdecydował jej mąż, a to nasz przewodniczący, mieli wtedy czworo dzieci, teraz przybyło piąte, zabrała Żmudzina dwoje i do ojców. Cztery miesiące jej nie było. Chłop zmizerniał, zżółkł, ale nie ustąpił. Twardy... Tak ona wróciła. Powiedziała że jej tylko o tamte dzieci chodzi, żeby sobie czego nie myślał. I do roboty powiedziała nie pójdzie. Ale pod jesień nie wytrzymała. A potem została przy świniach i przez ostatnie dwa miesiące w pięćdziesiątym pierwszym roku wyrobiła sto i dwanaście dniówek. A w zeszłym roku została przodownicą. Krzyż jej w Warszawie dali.

Tak to wyszło. Czuwać trzeba...

Teraz kilku chłopów z gierczyckiej biedoty było już o krok od spółdzielni. Podania nawet złożyli. Ale ksiądz proboszcz rozdzierżawiał w tym samym akurat czasie swoją proboszczówkę. Akurat w tym czasie. Ziemia na proboszczówce dobra, ogórki można na niej siać. Gorzej gospodarzyć, bo parobki wolą mimo wszystko, pracę w ostrowieckiej hucie, niż na plebanii. Proboszczówkę więc podzielił na małe kawałki, żeby dla wszystkich starczyło. I uważacie takim trafem dzierżawę otrzymali ci najbliżsi spółdzielni. Myślicie, koniec na tym?

Misjonarzy ściągnął. Sześć dni misje odprawiali pod hasłem: „Ratuj duszę swoją“. A przy spowiedzi pytali „ze dworu, czy ze wsi?“ Ze dworu, to znaczy „ze spółdzielni“. Księgowy, Kasprzycki, powiada, że dla pokuty, żeby była różnica w pokucie.

I jakby zamykając rozpoczętą rozmowę wrócił do mojego pytania.

— A wy nie uważacie stróżowania za potrzebne?

Adam Sar

Sygnały...

KAZIMIERA ŻUKOWSKA

„NIE JESTEŚMY SAMI”

Opowiadania pt. „Nie jesteśmy sami“*) Weroniki Wilbik - Jagusztynowej obejmują okres niemal od r. 1934 do chwili obecnej.

Jest to ciekawa próba ukazania sytuacji wsi polskiej za rządów sanacji, w czasie okupacji i w Polsce Ludowej w krótkich, ciekawych i pełnych napięcia opowiadaniach.

Zadanie, jakie postawiła sobie autorka, jest ambitne, zwłaszcza, jeśli zważymy, że w naszej literaturze wiejskiej nie wiele jest jeszcze książek mówiących o powstaniach chłopskich w sanacyjnej Polsce, o walce wsi z okupantem hitlerowskim, że sprawy Batalionów Chłopskich i AL są traktowane jak dotąd raczej marginesowo.

Dziś w przededniu dziesięciolecia Polski Ludowej opowiadania ilustrujące ogrom przemian i przeobrażeń naszej wsi budzą szczególne zainteresowanie.

Nie zdajemy sobie często sprawy, jak wiele rewolucyjnych zmian dzieli „stare i nowe“ wsi polskiej. Wsi, gdzie w dawnym dworze zakłada się biblioteki, świetlice i przedszkola, wsi, która nie tylko ziszcza marzenia poety o książkach pod strzechą, ale i sama wkracza w zaklęte wrota literatury dyskutując, radząc i krytykując w spotkaniach z autorami. Gdzie toczy się nieubłagana i nieustająca walka z ciągle jeszcze podnoszącymi łeb przeżytkami „starego“, ale z pełną świadomością, że jedyną z możliwych jest perspektywa zwycięstwa.

Jakże naturalny wydaje się dziś fakt pełnego uczestnictwa chłopa w życiu gospodarczym, społecznym i politycznym kraju, w którym kilkanaście lat temu „pacyfikowano“ całe wsie, za to, że ośmieliły się żądać zaspokojenia minimalnych potrzeb życiowych!

Opowiadania „Nie jesteśmy sami“, choć w dużym skrócie, ukazują narastanie świadomości klasowej wśród warstw biedniackich wsi, kształtowanie się jej w ogniu walki z reżimem sanacyjnym, z faszystowskim okupantem, z kułakiem i obszarnikiem. Rozwarstwienie wsi, jej podział klasowy zarysowuje się w książce bardzo wyraźnie, widoczny jest już w pierwszym opowiadaniu, gdzie otumaniony przez pseudoludowe stronnictwa chłop usiłuje siać dywersję w szeregach zrewolucjonizowanych mas. Był to fakt bardzo znamienny dla polityki sanacji, która usiłowała w ten sposób rozsadzić od wewnątrz ruch chłopski.

W polityce tej zgodnie współdziałały interesy obszarników i kleru, sprzymierzonych w ciągłej nienawistnej obawie do „widma komunizmu“, które bezskutecznie starali się odstraszyć, zwalczając każdy odruch buntu. Rewolucyjni chłopi, których świadomość społeczna i polityczna rozwijała się w walce lat 1934-1937 rozumieli już, że sprzymierzeńcami ich w walce z sanacją będą nie arystokratyczni przywódcy pseudoludowych stronnictw, ale robotnicy, „towarzysze z miasta“, gdyż tak jak i masy chłopskie mieli oni do stracenia tylko swoją nędzę.

Jedną z najcelniejszych kart książki jest scena w więzieniu, gdzie zbici i zmaltretowani chłopi-powstańcy czytają ulotkę CK KPP z sierpnia 1937 r.

„...Walka wsi musi znaleźć jak najpełniejsze poparcie miast... Za pomocą tych strajków robotnicy doszlusują do rozgorzałego już boju o wolność... Za pomocą tych strajków lud przeciwstawi się fali terroru i pacyfikacji...“

Gdy fornal doczytał do tych słów, Chmiel nie mógł już wytrzymać. Zerwał się gwałtownie na równe nogi zapominając o ostrym bólu powyżej krzyża i pokazując chłopom podpis KPP pod odezwą, powtarzał gorączkowo:

— Widzicie! Gadałem! Warti! Nie jesteśmy sami! — a jego twarz promieniała na nowo wolą walki, jak w czasie strajku.

Na korytarzu dały się słyszeć ciężkie kroki dozorcy. Bryła, zmrużywszy oczy, składał pośpiesznie odezwę chowając ją do cholewy, chłopi siadali na swych dawnych miejscach. Przez zakratowane okienko dostał się do celi wąski, zbłąkany promień słońca, który napełnił ją jasnością.

W nieprzerwanej walce o nowe hartują się charaktery, kształtuje się świadomość dążeń i celów, powstaje nowy człowiek — chłop rządzący swym krajem, chłop, który wie, że jego interesy są także interesami ludowej ojczyzny.

Książka „Nie jesteśmy sami“ może w tym wielkim procesie odegrać pożyteczną rolę.

*) *Weronika Wilbik-Jagusztynowa — Nie jesteśmy sami. Warszawa, 1953 r. Czytelnik, str. 185. Cena zł 6.*

STANISŁAW ŚLIWA

OPOWIADANIA ŁUŻYCKIE

Jurij Brězan w tomie opowiadań łużyckich zatytułowanych „Na miedzy rośnie zboże“*) pokazuje wczoraj, dziś i w perspektywie jutro garstki plemion słowiańskich zamieszkałych między Spreewaldem a Górami Łużyckimi. 250 tysięcy Łużyczan zamieszkujących dziś terytorium NRD to resztki gnębionych przez wieki, germanizowanych i wywłaszczanych ludzi, którym odbierało się prawo do narodowego języka, bogatej kultury i obyczaju łużyckiego.

W ciekawy sposób ukazał Brězan ten kawał historii w pełnym dynamiki i humoru opowiadaniu pt. „Jak stara Janczarowa walczyła z władzą“. Ta ciekawa historia ukazuje w wielkim skrócie dzieje wyrobnicy wiejskiej prowadzącej w obronie własnego honoru i sprawiedliwości upartą i odważną walkę z junkrami, a potem z faszystami. Historia ta ukazana jest na tle przemian społecznych i ekonomicznych w Niemczech od początku XX wieku, aż do wyzwolenia.

Janczarowa wierzyła święcie w sformułowanie, które zapamiętała z czasów szkolnych: „Wszyscy podlegamy władzy, władza pochodzi od Boga“. Kradzież garstki kopiczyny wskutek nędzy, ordynarne szczucie Janczarowej przez dzierżawcę powoduje bunt starej wyrobnicy. Wybuch buntu, który dokonał się w oczach fornali, przynosi zwycięstwo Janczarowej nad dzierżawcą i — co ważniejsze — ma olbrzymie oddziaływanie na innych. Walcząca postawa kobiety staje się przykładem rewolucyjności i zachętą do walki dla biedoty. Janczarowa w walce dochodzi do samodzielnych wniosków o klasowym charakterze władzy służącej wyzyskiwaczom do gnębienia biednych. Wtedy to Janczarowa ośmiesza przedstawiciela tej władzy, wachmistrza policji, Schillera. Scena, w której wykpiła ona policjanta, należy do jednej z najciekawszych w książce. Widać już jak wśród chłopów rodzi się solidarność, jak bronią Janczarowej przed atakami władzy i tym zabezpieczają ją od straszliwej zemsty.

Gdy we wsi ukazali się narodowi socjaliści Janczarowa wkrótce mogła wywnioskować, że są to popleczncy junkrów i bogaczy. Dlatego znienawidziła ich i demaskowała od początku. Za to zdobyła sobie wielki autorytet i poważanie wśród biedoty. Na wojnie Janczarowa straciła syna i córkę. W rozmowach z radzieckim żołnierzem, Wańką, który był w niewoli, poznała istotę i cel wojny. Wańka potrafił jej wytłumaczyć, jakie sumy zarabia Krupp na wojnie kosztem krwi milionów ludzi. Wtedy nienawiść do faszyzmu powoduje, że Janczarowa bez wahania wypędza swoją córkę, która została żoną faszystowskiego oficera.

Kiedy po wyzwoleniu nastała władza biedoty, Janczarowa zaprzyjaźniła się z wachmistrzem ludowej milicji; zobaczyła w gazecie artykuł o sobie i doszła do wniosku, że „władza, to dawniej byli tamci, a dziś... dziś, my jesteśmy władzą“.

Postać Janczarowej porywa czytelnika siłą charakteru i prostotą, celnością rozumowania i oddziaływania na innych. Opowiadanie mimo to, że traktuje o ciężkich czasach nędzy, zawiera w swej treści wiele elementów ludowego optymizmu, prostoty i humoru.

„Zgubione cielę“ i „Koń Fridolin“ to opowiadania niemal satyryczne. Ich cechą wspólną jest groteskowość ujęcia postaci i sytuacji oraz wprowadzenie obok bohaterów-ludzi, myślących i odczuwających bohaterów świata zwierzęcego. Autor wprowadzając w taki sposób charakterystyki sytuacyj nawiązuje wyraźnie do ludowych gawęd i opowiadań łużyckich.

Ostatnie opowiadanie pokazuje w perspektywie przyszłość wsi łużyckiej. Pietr Bietka to urodzony gospodarz, najlepszy we wsi mistrz urodzaju. Natomiast jego sąsiad, Gustaw Mainik, interesuje się pracą górnika.

Bietka panicznie boi się kolektywizacji i MAS**), który uważa za pierwszy stopień do kołchozów. Długo dyskutuje z sąsiadami, pracuje sam z zaciętością, męcząc siebie i krowy, byle tylko nie dopuścić maszyn na swoje pole. Pole to było przez jego przodków wydarte przyrodzie, z nieużytku doprowadzone do stanu użytkowego. Stąd to szczególne przywiązanie Bietki do gospodarstwa. Jednak na uroczystościach dożynkowych, kiedy Bietka poznaje chłopaków z MAS, gdy widzi piękne maszyny i ich użyteczność, postanawia zerwać ze swym uporem i poprosić o pomoc. Nazajutrz traktor zaorał i zasiał jego pole razem z polem sąsiada i razem z miedzą za zgodą gospodarza. W ten sposób Bietka przekonał się do uprawy maszynowej i do kolektywnej gospodarki.

Opowiadania łużyckie Jurija Brězana są ciekawym tomikiem na naszych półkach księgarskich. Dają one obraz nowego życia wsi łużyckiej w NRD, mówią o tym, jak rozwija się kultura, obyczaje i język plemion słowiańskich wyzwolonych spod ucisku narodowościowego i społecznego. Dają wiele celnych przykładów toczącej się jeszcze ostrej walki klasowej. Agitatorzy i działacze wyjaśniający problem niemiecki jako centralny dla sprawy pokoju powinni zapoznać się z tą ciekawą książką łużyckiego pisarza.

*) *Jurij Brezan — Na miedzy rośnie zboże. Czytelnik 1953 r., str. 222. Tłum. z niem. Zofia Petersowa.*

**) *Odpowiednik POM na terenie NRD.*

KRYSTYNA PAŁYS

„Elektrostancja“ w Serpelicach

Maria Hallińska

WGŁOWACH gospodarzy z Serpelic zrodził się tej wiosny śmiały pomysł budowy małej elektrowni wodnej na rzeczce, wpadającej do Buga.

Przedsięwzięcie tego rodzaju nie ma na Lubelszczyźnie precedensu. Toteż wielki zapał gromady mógł się zamienić przy piętrzących się trudnościach w słomiany ogień, a jednak chłopi z Serpelic sypią wał spiętrzający wodę, zabierają się do budowy tamy, zakupili nawet prądnicę i turbinę wodną.

Skąd te pomysły w wiosce oddalonej o dwadzieścia kilka kilometrów od ostatniego w tych stronach słupa z przewodami elektrycznymi? Na jakim gruncie zaczęła kiełkować myśl, wprowadzająca rewolucję w życie wciśnięte pomiędzy piaszczyste wzgórza i nadbużańskie mokradła? Z czego rodzi się ten upór serpeliczan, z jakim starają się zaprząc swoją rzeczkę do pracy?

✻

Wyczytałam w sprawozdaniu Gminnej Biblioteki w Konstantynowie, że małorolna Maria Halińska z Wólki Nosowskiej przeczytała w roku 1952 aż 86 książek. Liczba wyglądała na niewiarygodną — co cztery dni jeden tom przez okrągły rok, a kobieta liczy sobie z górą pięćdziesiątkę. Postanowiłam odwiedzić bibliotekę i czytelniczkę. Nie wiedziałam wówczas, że trafię tu na ślad wielkiego czynu Serpelic

Konstantynów to osada stara i pozornie nieciekawa. Kilkaset mocno nadwerężonych zębem czasu domków, rozchodzących się w cztery strony świata z czworokątnego rynku. Opodal granitowy mur naokoło dawnego gniazda hrabiów Platerów, sterczy jako historyczny dokument kapitalistycznego podziału ludzkości na uprzywilejowanych nierobów i tych, których jedynym przywilejem była praca. W samym pałacu od kilku lat uczy się młodzież.

Biblioteka mieści się w Młodzieżowym Domu Kultury, naprzeciw świetlicy, przychodzi do niej zimą po sto osób dziennie, latem, gdy roboty trzymają ludzi w polu, bywa trochę mniej. Początkowo wypożyczali książki trzy razy w tygodniu, lecz czytelników przybywało i teraz bibliotekarka urzęduje co dzień, nawet w niedzielę, bo w dzień świąteczny ludzie mają najwięcej czasu. Z książką w zanadrzu wędrują kilka kilometrów chłopi do biblioteki, bo Waleria Chomiukowa ma po wsiach takich czytelników, którym punkty biblioteczne nie wystarczają, chociaż w gminie jest ich jedenaście.

Ma ona dobrych pomocników w krzewieniu czytelnictwa. Dwudziestoosobowy aktyw czytelniczy — to pomysł nauczycielstwa i panny Ireny czyli sekretarza prezydium GRN. Podczas tegorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy członkowie aktywu zwerbowali 76 nowych czytelników.

✻

Trzy karty gęsto zapisane numerami przeczytanych książek z nazwiskiem Maria Halińska u góry dowiodły, że w sprawozdaniu nie było przesady. Małorolna chłopka z Wólki Nosowskiej, rzeczywiście przeczytała w ciągu roku kilkadziesiąt książek.

Za sanacji była wyrobnicą, w Polsce Ludowej dostała dwa hektary ziemi z reformy rolnej. Mieszka w komornym razem z córką i poza Wólkę nie wyściubiała nosa, ale horyzonty myślowe tej starej i wychudłej od nielekkiego życia kobiety są szerokie, w rozmowie o książkach wypowiada sądy o tak wielkim ciężarze gatunkowym, że dyskusja z nią nabiera charakteru dysputy. Halińska jest bez wątpienia zjawiskiem nieprzeciętnym, osobowością o umyśle ukształtowanym wybitnie przez książki. Pół wieku życia i przy tym godna zazdrości bystrość, świeżość umysłu połączona z trzeźwym sądem — a przecież całe jej wykształcenie skończyło się na nauce czytania i pisania w wiejskiej ochronce za carskich jeszcze czasów, kiedy ojciec zanosił ją tam w płachcie na plecach.

Na stole obok kobiałki z jajami leży powieść Vladimira Poznera „Dni klęski“, na półce Lew Tołstoj.

— Gusty ludzkie do książek nie są zawsze jednakow — zmieniają się — powiada. Za młodości czytałam z upodobaniem Sienkiewicza, nęciły mnie powieści Mostowicza, a Żeromskiego nie tylko że nie rozumiałam, ale mi się nie podobał. Dziś „Ludzi bezdomnych“ nie zamieniłabym na wiele innych książek.

Zna Halińska naszych i radzieckich klasyków, cytuje wyjątki z poezji Puszkina, mówi o głębokiej ludzkości utworów autora „Matki“ i „Dzieciństwa“ — Gorkiego. Ze współczesnych pisarzy radzieckich ceni najwyżej Szołochowa, skarży się, że trudno się doczekać kolejki w bibliotece na „Pamiątkę“ Newerly'ego, bo ją rozrywają w Konstantynowie, a na młodych chłopców, że nie chcą wypuścić z rąk „Piątki z ulicy Barskiej“.

Była już na progu, gdy bibliotekarka zapytała ją jeszcze: — A „tamtą“ dokończyliście? Halińska wyciągnęła spomiędzy papierów tom owinięty w gazetę.

— A niech ją... Wszystko mi w głowie przewróciła do góry nogami.

Z gazety wysunęła się rozprawa o materializmie dialektycznym.

— Przyniósł mi ją siostrzeniec z Liceum Pedagogicznego w Janowie i powiada: Ciociu, ale mam drugą taką że jakbyście przeczytali, to zaraz założylibyście w Wólce spółdzielnię produkcyjną.

✻

Z książek i gazet dowiedzieli się chłopi z Serpelic o Dnieprostroju, kanale Wołga Don i projektach wykorzystania energii wodnej w naszej pięciolatce. W Dubiczach, Kamionce i Wólce Nosowskiej założyli tej wiosny spółdzielnie produkcyjne, ale wszędzie czytali przed tem „Zorany ugór“ i „Kawalera złotej gwiazdy“. Rewolucja nie zawsze rodzi się w huku dział i strumieniach krwi często wśród przerzucanych kartek, między tytułami czytanych książek. Z półek bibliotecznych przedostaje się na wieś podlaską odgłosy wielkich przemian i budzą echo.

Kto związał tak mocno bibliotekę gminną z życiem okolicy jeśli nie bystrooka bibliotekarka Waleria Chomiuk, którą zna każdy człowiek w gminie, której pomaga szkoła, Komitet Gminny i GRN. Przecież do niej biegnie z placzem córka Halińskiej gdy chciwy większego zysku gospodarz próbuje wyzbyć się matki z komornego. Wtedy bibliotekarka idzie do prezydium GRN i tam nie odmawiają pomocy

Krystyna Pałys

NIE WSZYSTKO ZŁOTO, CO SIĘ SWIECI

(Dokończenie ze str. 3)

czenia i indywidualnego, strzeżonego nieraz tajemnicą, osiągania wyników — jest to wyraz ich olbrzymiego postępu i wyraz ich miczurinowskiej postawy. Miczurinowskiej dlatego, że ich doświadczenia w tym zakresie nie przyoblekają się (jak w doświadczeniach wielu sadowników czy pólkarzy — w marzenia o własnym towarze — jabłku, o własnym towarze — pszenicy, lecz zmierzają do odkrycia praw rządzących rozwojem tych nieznanych u nas roślin, o zmuszenie ich do wyrastania i dojrzewania w naszych warunkach, w naszym środowisku, do zaspokojenia potrzeb surowcowych państwa, a tym samym do zaspokojenia potrzeb całego pracującego społeczeństwa. Sprawa roślin przemysłowych nie jest sprawą prywatną. I dlatego ze sprawą tą związali swój los doświadczalnicy-spółdzielcy i młodzież.

✻

Jak najogólniej ocenić postawę naszych praktyków uczestniczących w pracach kół miczurinowskich? Są to ludzie wyzwalający się z ciemnoty i przesądów, ale ich kroki w marszu do postępu są bardzo nierówne. Jedni bardzo dobrze wyczuli już cel tym i zadania naszych czasów, podczas gdy inni nie mają jeszcze siły przeciąć własnej pępowiny, wiążącej ich ze starym, z tym, co przeminęło, z kapitalistycznym kołtuństwem.

Dyzma Gałaj

PIOTR DONIEC

Wnioski dla aktywu

SŁUSZNE były spostrzeżenia terenowe Bocheńskiego, autora „Zgoanie z prawem", co do aktywistów gminnych i wojewódzkich. Zauważyłem, że sekretarz KP Wójcik oraz Majewski zapatrzeni byli tylko w plan skupu — aby ani na jedną chwilę nie osłabł, natomiast mało troszczyli się o to, jak są do tego nastawieni chłopi. Moim zdaniem, to nie daje wkładu do budowy socjalizmu, jeżeli cała wieś zawiezie zboże nawet zbiorowo z uroczystością, a przyjeżdżając do swych domów, chłopi źli i zdenerwowani będą mówić „że odwieźliśmy ten przeklęty kontygent". Nie chodzi mi o to, aby plany obowiązkowych dostaw słabły, a przeciwnie, aby się powiększały i aby przy takich planach wyrastali jak grzyby po deszczu chłopi podobni do Franciszka Olejniczaka. Aby jednak tacy chłopi wyrastali, muszą widzieć słuszną linię polityki władzy ludowej. Nie wolno bowiem, aby któremukolwiek rolnikowi działa się krzywda. Niewłaściwa jest taka robota, że chłop zawiózł zboże na źle obliczoną obowiązkową dostawę, a potem na podaniu odnotowano, że jest zwolniony i odstawił ponad plan. Wójcicki i Majewski z wyliczeniem Olejniczaka puszczali wodę na młyn kułacki. Mimo popełnionego błędu Bocheński pokazuje jednak, że działacz terenowy powinien być dalekowzroczny, powinien się zastanawiać, dlaczego zboże idzie źle. Są wypadki, że zakłopotany chłop z powodu choroby żony lub dziecka wypożyczył od kułaka zboże albo gotówkę i takową oddaje z lichwiarskim procentem i jest mu bieda. Należy to zobaczyć i ulżyć tak, jak ulżono Olejniczakowi z alimentów dla Wojciechowskiej, wówczas aktyw będący w terenie przyciągnie masę chłopów podobnych do Olejniczaka. Jasne jest jak słońce, że gdy Olejniczak zobaczył, że aktyw pomógł mu, aby Wojciechowskiej zamiast alimentów w zbożu zapłacić gotówką według ceny spółdzielczej, wtedy obudził się jego patriotyzm, wołał o spółdzielnię produkcyjną i ujawnił w kopcu Pawlika zachowaną pszenicę kułaka Wojciechowskiego.

Dwaj towarzysze, tj. Wójcik sekretarz KP i drugi z województwa, tow. Majewski słusznie postępowali, że bali się, aby nie przegiąć, aby nie spowodować Gryfic. Gdy nie badali terenu, ich praca była łatwizną i mogli czynić przegięcia, wyrządzając krzywdę temu, co dzisiaj oddał zboże na obowiązkową dostawę, a za tydzień już nie miał co jeść i siać w polu. Najpierw aktyw powinien przeanalizować, kto wchodził w skład trójki w gromadzie, bo ujawniło się, że trójka, do której wszedł Franciszek Olejniczak, nie prowadziła sprawiedliwego rozdziału. Weszło dwóch ludzi, którzy mieli na celu ochronić kułaka Wojciechowskiego. Pawlik spekulant, nawet siłą wymusił, aby trójka zgodnie podpisała prośbę kułaka Wojciechowskiego. Chociaż biedny Olejniczak cofał się do tyłu jak rak, większość go przemogła i wmówiła w niego, że Wojciechowski już dawno jest rozkułaczony. Ale wszyscy widzieli, że Pawlik przyjął pszenicę kułaka do przechowania, a potem kłamał, że Wojciechowski zboża nie posiada. I nie ma najmniejszej wątpliwości, że gdyby nie znał sekretu Olejniczak, pszenica kułaka wymierzona i odsypana z kopca Pawlika popłynęłaby strugą do spekulantów. Wskazuje to na konieczność ostrożności. Ale tu jest jeszcze jedna sprawa. Ja sądzę, że Wójcik popełnił wielki błąd: wiedział, że w całej gromadzie jest źle obliczony wymiar zboża po gradobiciu (str. 59), a jednakowoż nie starał się, aby go usprawnić, wszedł w kontakt tylko z Olejniczakiem i tylko jego zbliżył do dzisiejszej rzeczywistości. Chociaż i on został poszkodowany, ale były przecież dziesiątki chłopów podobnych do Olejniczaka i zostali pokrzywdzeni przez gminny biurokratyzm, jak wynika z książki, i nikt nie brał ich w obronę. Choć książka o tym nie mówi, chłopom tym na pewno pokazał się obraz niesprawiedliwości, którą spowodowali ludzie gnuśni i niesumienni, chcący tylko wykonać plan. Dwaj aktywiści Wójcik i Majewski bali się, aby nie spowodować błędu Gryfic przy wykonaniu planu obowiązkowych dostaw zboża. Pomimo to ci dwaj wiedzieli, że bywają uparci kułacy, co do których potrzeba wyciągnąć wnioski o słuszne ukaranie, a nawet dokonywać u niektórych omłotów. Trzeba jednak stawiać sprawę po bolszewicku i sprawiedliwie, bo kułaków należy ograniczać, a nie wolno ich likwidować. Ale aktyw, który idzie na wieś w jakich bądź akcjach, natrafia na wielki opór kułacki. Musi to przezwyciężyć, a nie iść na łatwiznę.

Ja sądzę, że pisarz słusznie ukazuje niebezpieczeństwa jakie mogły wyniknąć z przesadnej ostrożności, z lęku przed popadnięciem w błąd gryficki. Wójcik i Majewski byli dobrymi aktywistami, tylko byli podszyci bojaźnią, aby nie wypaczyć linii partii i przez to czynili wielkie błędy. Byli oni wprost wykonawcami planów obowiązkowych dostaw, które to plany źle były załatwiane przez minnych lewaków. Tymczasem należało te plany sprawdzić. Wójcik naocznie przekonuje się, że Olejniczak jest pokrzywdzony w wymiarze zboża z powodu gradobicia, jednakowoż nic nie uczynił, aby ten błąd poprawić, a przecież takich podobnych Olejniczaków było wielu. Wielu z nich oderwało się od dzisiejszej wsi. Aktyw, do jakiego należał Wójcik i Majewki, powinien widzieć, jak pracują placówki w terenie, czy takowe nie krzywdzą chłopów. Każdy z nas wie, że chłop szukał ziemi po Argentynie, Brazylii i jeszcze po innych krajach, a dzisiaj ma swoją i boi się jej pozbyć, np. gdy chłop zobaczy, że gospodarowana w GS-ach placówka prowadzi się dobrze, wówczas nabiera chęci, aby włączyć swoje rozdrobnione gospodarstwo do kolektywnej uprawy. Na moim terenie jest pewna placówka GS i chłopi usłyszeli sprawozdanie, z którego wynikało, że posiada ona duże straty. Odstraszyło to wielu chłopów od wstąpienia do spółdzielni. Dlaczego tak się stało? Można bez trudności odgadnąć. Odpowiedź jest po prostu wyjęta z ust Franciszka Olejniczaka: paskudztwo wlazło i podszyło się pod płaszcz partii, aby uzyskać prezesury i dobrze obłowić się tanim kosztem na niwie społecznej. Tak, że w końcu jeden z członków tego zarządu dostał się do więzienia. Do takich należał zarząd GS.

Dużo większą winę ponoszą władze powiatowe, a nawet wojewódzkie, bowiem nad zarządem GS brak kontroli od samego początku jego istnienia. Jest to tylko jeden drobny przykład, pokazuje jednak, że rację miał autor „Zgodnie z prawem" wskazując czujność i kontrolę pracy społecznych placówek na wsi. Jak widać, książka ta niejednego może nauczyć.

wieś Dosłońce, gm. Racławice

HELENA ZAWORSKA

„WSROBOWAĆ CZYTELNIKA W GĄSZCZ WALKI KLASOWEJ"

DO najlepszych wypowiedzi terenowych o książkach współczesnych pisarzy należą nie te, które mówią tylko o książce i tylko o jej bohaterach. To krytycy zawodowi znają się doskonale na sposobach konfrontowania jednego materiału literackiego z innym materiałem literackim lub ze szpaltami odnośnych artykułów. Konfrontacja czytelnika jest często ostrzejsza — opiera się nie na ogólnej wiedzy o problemie, lecz na żywym, bogatym materiale własnych codziennych doświadczeń. W takich wypowiedziach brak gotowych uogólnień, ale brak również — ogólników. Za formułowanymi sądami stoją często działa wielkiego kalibru: wieloletnie doświadczenie, mądrość długo przygotowywanych zwycięstw, gorzkie nauki popełnianych błędów. Dla działacza - aktywisty terenowego miarą wartości książki jest nie tylko jej dokumentalność zawarta w stwierdzeniu: pisarz napisał prawdę, tak było. Miarą pełniejszą, miarą najżywiej chwytaną, jest najwyższa miara realizmu: ukazywanie nowych form rozwoju, wskazanie nowych dróg dla przezwyciężenia starego, odnalezienie rozwiązań dla spraw, których pozorna przypadkowość i wyjątkowość kryje za sobą typowość ogólnych procesów.

Pisarz, który „pisze prawdę", to dużo, ale to jeszcze nie autorytet. Autorytet, to ten, który *„wie więcej"*, który *lepiej patrzy,* i który *umie nauczyć tej ostrości widzenia.* Wtedy w wypowiedziach o książce posypią się przykłady z własnych doświadczeń, wtedy padnie najwyższa dla pisarza ocena: „Ta książka dobrze uczy praw walki klasowej".

Taką książką jest niewątpliwie zbiór opowiadań Jacka Bocheńskiego „Zgodnie z prawem". Wiele już o niej pisano. Poruszyła ona krytyków literackich, ale co najważniejsze — poruszyła szeroki krąg czytelników. Z listów, traktujących o współczesnych książkach, najwięcej wypowiedzi przyszło o tomie Bocheńskiego. Ale nawet nie tyle sam fakt nadesłania wypowiedzi, ile ich treść stanowi wymowne świadectwo wartości książki Bocheńskiego. Przypatrzmy się tym wypowiedziom bliżej.

„Z podziwem oglądam pisarski wysiłek Bocheńskiego, aby się wsrubować w poplątany gąszcz walki klasowej na wsi, gdzie ludzie ścierają się imiennie jako sąsiedzi i znajomkowie. I dlatego w takich warunkach walka klasowa bardzo jest utrudniona i mimo trafnych ciosów często i długo nieskuteczna... Bocheński dotarł wreszcie do tego, czym my żyjemy na co dzień, w czym się często topimy i gubimy, bo tu trudne rozeznanie i wzorów na odwirowanie każdego elementu brak. A tak by się chciało, żeby te sprawy łokcia przy łokciu jak najczęściej pisarze wyświetlali i na widok wystawiali" — pisze jeden z działaczy wiejskich, Wacław Kosobucki (Wieś nr 22 br.).

Zacytowana uwaga Kosobuckiego jest charakterystyczna i dla innych wypowiedzi o „Zgodnie z prawem", a przede wszystkim ujmuje z miejsca centralne zagadnienia książki Bocheńskiego: odkrywanie praw walki klasowej, praw rozwoju w skomplikowanych i trudnych do rozszyfrowania sytuacjach, odsłanianie ukrytych sprężyn wypadków, dochodzenie pisarza do trudno uchwytnych, zakonspirowanych prawd o specyfice walki na poszczególnych odcinkach. Czytelnik wychwycił konkretną sytuację: sprawę Olejniczaka. Olejniczak demaskuje na zebraniu kułaka Wojciechowskiego, a ten „usadza" go, ośmiesza jednym wstydliwym według opinii gromadzkiej przypomnieniem, w jaki to przypadkowy sposób dorobił się Olejniczak swych kilku zagonów. Oto jedno krótkie spięcie, jeden moment, w którym sprawa walki klasowej splata się najściślej z zadawnionymi zdawałoby się sprawami, z utartymi sądami, z właściwym, czy niewłaściwym poczuciem śmieszności utrwalonym miarą wieloletnich sąsiedzkich obyczajów. Drobnostka? Nie, rzeczywista kłoda pod nogi Olejniczaka, chytre wykorzystanie przez kułaka broni zabójczej wśród znajomków — śmieszności. Nie doceniali takich rodzajów broni nasi pisarze, u których walk klasowa odbywała się w sposób wprawdzie bardzo bojowy, ale — bardzo nieskomplikowany i była nastawiona na najwyższy, patetyczny ton. U Bocheńskiego walka klasowa, to nie „bicie w werble na peryferiach utworu" — to zacięta, przejawiająca się w różnych formach, obecna na każdej stronie dynamika rozwoju rzeczywistości, prawo określające postawę ludzi i ich działanie, ich etykę. Bocheński rzeczywiście dotarł wreszcie do spraw, w których rozeznanie się jest trudne i dla pisarza, i dla działacza wiejskiego, do spraw codziennych, do ukrytych manewrów zrozumiałych dopiero po wnikliwym wdarciu się w skomplikowany gąszcz ludzkich spraw. I to właśnie podkreślili od razu czytelnicy jego książki. Tę pasję odkrywczą, tę umiejętność dotarcia do samego sedna, to niepoprzestawanie na najbardziej ogólnych i znanych konfliktach ocenili najwyżej. Książka Bocheńskiego uczy również większej czujności, pokazuje drogi, po których jak po nitce do kłębka dojść można do wykrycia metod wroga

Wypowiedzi o „Zgodnie z prawem" nie zawierają mdłych ocen w rodzaju „książka bardzo mi się podobała". Czytelnicy wychwytują problemy, które są dla nich oczywiste, jak na dłoni — mogą się z nimi zgadzać lub nie, potrafią jednak bez trudu dostrzec je, zaktualizować, przenieść na grunt własnych doświadczeń, poprzeć znanymi sobie faktami. Czyż trzeba lepszego dowodu na to, że książka Bocheńskiego stawia ostro problematykę, operuje bogactwem konkretnego materiału, uderza wyrazistością krótkich spięć, w jakich przejawiają się ukazane konflikty? To nie przypadek, że czytelnicy tak łatwo znajdują powiązania własnych doświadczeń z doświadczeniami bohaterów książki, że tak łatwo znaleźć im z własnej pracy w terenie argumenty za i przeciw. Pod nazwiskami Wójcickiego, Karolaka, Węgrzyckiego podstawiają nazwiska znanych sobie ludzi. A przecież chodzi tu nie tylko o podobieństwo, o typowość problematyki — chodzi przede wszystkim o konkretną pomoc w walce klasowej, o wyjaśnienie nie zawsze dobrze widocznych problemów, o to, że na przykład Kosobucki z opowiadania pt. „Wiosna" wyciągnął praktyczny dla swojej pracy wniosek: „U nas powstaje spółdzielnia produkcyjna i okazuje się, że POM będzie dla nas nowym sojusznikiem, nie tylko technicznym". Oto w jaki konkretny sposób opowiadanie pogłębiło doświadczenie aktywisty, wskazało mu jeszcze jedno źródło pomocy w walce, przypomniało o możliwościach znalezienia sojusznika w brygadzie traktorzystów.

Bilans „autor — czytelnicy" nie zamyka się oczywiście jednostronną korzyścią czytelnika. Wypowiedzi o „Zgodnie z prawem" zawierają również część krytyczną, część postulującą. Z surowych, nie popartych żadnymi uogólnieniami stwierdzeń można wysnuć wnioski dotyczące nie tylko sprawy słusznego lub niesłusznego potraktowania problemu, ale i sugerujące pewne rozwiązania artystyczne.

Wydaje mi się, że dla autora opowiadań o wsi współczesnej z wypowiedzi czytelniczych narzuca się jako postulatywny — następujący wniosek: pogłębić, zbadać jeszcze dokładniej sprawę działalności i postawy klasowej ludzi reprezentujących na wielu odcinkach władzę ludową. Właśnie *sprawa kadr,* właśnie sprawa właściwej linii działania władzy ludowej w terenie, sprawa kontroli ścisłej, czujnej, bezustannej — wysunęła się na czoło zagadnień poruszanych przez czytelników. Oczywiście, asumpt do tego dają same opowiadania — w tę problematykę słabo poruszaną, a jakże ważną, bije Bocheński. Ale nie jest przypadkiem, że znalazła ona tak silny oddźwięk u czytelników. Nie jest również przypadkiem, iż czytelnicy idą dalej od autora: domagają się jeszcze większej odpowiedzialności u Wójcików i Majewskich, poddają w wątpliwość decyzję Wójcika w sprawie Olejniczaka, któremu nie zwrócono ponadplanowego zboża, krytykują jak najsurowiej zapatrzenie się w plan skupu bez zwrócenia należytej uwagi na sytuację w terenie, bez zmobilizowania wysiłku nie w celu formalnego wypełnienia dostaw, lecz w celu politycznego, klasowego uświadomienia ważności wypełnionej akcji. Od problemu trójek gromadzkich kontrolujących skup zboża, aż po sprawę przewodniczącego i kierownictwa spółdzielni — przewija się najbardziej jątrzący problem poruszany w wypowiedziach, argumentowany przykładami z terenu, problem, na którego tak żywa reakcja musi być sygnałem dla pisarzy.

Wiele pisano o opowiadaniu zatytułowanym „Rozbitek". Poddawano w wątpliwość motywację wahań Węgrzyckiego, a właściwie mówiono o braku tej motywacji. „Nowelą o obrażonym biedniaku" nazwał to opowiadanie recenzent w „Przeglądzie Kulturalnym" dopatrując się w tym nieco antyschematycznej maniery. Na inny grunt przeniósł to zagadnienie czytelnik. Zauważył brak motywacji w postępowaniu Węgrzyckiego, ale usiłował domyśleć się innych przyczyn. Węgrzycki jest obrażony na przewodniczącego spółdzielni, nie ma zaufania do spółdzielców. Czy tylko dlatego, że inspiruje go kułak? A co wiemy o Kubali, o stosunku spółdzielców do pozostających poza spółdzielnią? — pyta Kosobucki. Węgrzycki jest obrażony ale d l a c z e g o? Czy druga strona jest tu na pewno bez winy?

Oto charakterystyczne sugestie czytelnika, sugestie tym wymowniejsze, że nie tylko w jego wypowiedzi poparte przykładami z terenu, które w sposób ostry stawiają sprawę niewłaściwej polityki spółdzielców w stosunku do niezrzeszonych, sprawę demobilizującej całe gromady funkcji niewłaściwego obsadzania kadr kierowniczych. Można dyskutować oczywiście, czy takie według intencji autora mogły być m. in. powody wahań Węgrzyckiego. Nie można jednak nie zauważyć, iż w tym podsunięciu przez czytelnika właśnie takiego rozwiązania kryje się problem, który jest wart głębokiego zastanowienia i zbadania. Jeśli nawet nie o tak postawiony problem chodziło autorowi w tym jednym opowiadaniu — czyż nie powinno chodzić o niego jak najbardziej w dziesięciu innych opowiadaniach „do napisania"?

Szukając walorów, dla których opowiadania Bocheńskiego tak łatwo „biorą" czytelnika, wysuwa się wiele cech tej dobrej prozy młodego pisarza: od odwagi i umiejętności chwytania konfliktów w momentach krótkich spięć po uwagi na temat dobrze konstruowanego dialogu, żywego, nasyconego ludową mądrością języka, celowego komentarza odautorskiego. Czytelnik nie nazwie oczywiście po imieniu tych wszystkich subtelności. Ale o artystycznym również oddziaływaniu opowiadań Bocheńskiego mówi żywa reakcja czytelników na tę właśnie książkę, zainteresowanie dla jej bohaterów, rozstrzyganie ich spraw na platformie dyskusji z autorem. Nie darowano Bocheńskiemu momentów, w których autor zagubił pełną motywację postępowania bohatera (sprawa Węgrzyckiego), zwrócono uwagę na szkicowość i fragmentaryczność postaci Jabłonowskiego, który mógł stanowić klucz do lepszego zrozumienia sytuacji w spółdzielni, do głębszego wytłumaczenia powodów, dla których trzeba było dopiero brygady FOM, by rozwiązać kilkuletni bałagan w spółdzielni.

Pisząc o zainteresowaniu czytelników książką Bocheńskiego warto podkreślić, że książka ta to jeden z pierwszych, jeśli nie pierwszy tom o p o w i a d a ń o wsi współczesnej, który zdobył sobie wiejskiego czytelnika. Mało się u nas pisze i mówi o formie opowiadania, o jego funkcji mobilizującej, o wyrazistości jego obrazu w ogóle, o doniosłości tej małej formy prozatorskiej posiadającej bardzo dużą siłę oddziaływania, a tak trudnej w ideowo - artystycznym wykonaniu. W literaturze rosyjskiej i radzieckiej mamy przebogate tradycje tej właśnie formy. U nas — wiele z najcelniejszych pozycji o tematyce wiejskiej stanowi jednocześnie szczyt nowelistyki polskiej. Na materiale współczesnej prozy o wsi trudno byłoby mówić o kontynuowaniu tych pięknych tradycji. Książka Bocheńskiego jest pierwszą godną zanotowania próbą. Warto, by przy okazji tej książki nasza krytyka poruszyła sprawę opowiadania w literaturze współczesnej. Odbiór książki Bocheńskiego w terenie świadczy, iż opowiadanie zdobywa sobie popularność wśród czytelników. Trzeba by je popularyzować również wśród — autorów.

Helena Zaworska

KAZIMIERZ JERZY ZALEYSKI

JAK KOŃ SOŃTY ŚWIETLICĘ FUNDOWAŁ

MIGOŃ jechał spółdzielczymi końmi po powrozy do snopowiązałki, przysiadłem się na wóz z tym większą ochotą, że Migoń to *gadativus* znany w całej gminie. Powiadają, że kot musi być łowny, a chłop mowny, Migoń zaś nie tylko gadkę umie ułożyć, ale i zagra na harmonii nie za bardzo fałszując. Z tego więc tytułu zapraszali go ludziska na huczniejsze wesela i chrzciny, co mu trochę pomagało dawniej wiązać koniec z końcem na jego 3-morgowej ojcowiźnie. Dziś Migoń-spółdzielca gra czasem na zabawach do tańca, ale na piątą wieś za weseliskami nie lata. Znajomości jednak z tamtych czasów zostały, więc gdy przejeżdżaliśmy przez sporą wieś Dudy uciął zaraz gawędę o mieszkańcach tej wsi znanych ze skąpstwa.

— *W Dudach* — zaczął Migoń — *mieszkają bardzo skąpe ludzie. Nie powiem, że źli, ale bardzo nie lubią grosza wydawać. Nazywają ich dławidudkami i powiadają, że łatwiej pięciu osom jedną kość zabrać niż od jednego dudowiaka pięć groszy wyprosić. Ludzie poczciwe, jak rzekłem, ale gdyby mogli, to by spod siebie jedli, takie oszczędne. Jeden taki dudowiak syna wysłał na robotę do tartaku. Co sobotę syn tygodniówkę przynosił. Stary liczył, aż jednego tygodnia widziało się staremu mało 20 groszy, więc synowi tak gada: „żeś stracił te 20 groszy, to ci nic nie mówię, bo człek grzeszny. Żeś nie przepił i w karty nie przegrał, to wiem, bo ty przecie moja krew, ale powidz, jak się ta kobita nazywa, co od ciebie pieniądze cygani." Takie tu ludzie mieszkają. Ziemię mają lichą i mało, ale żyją nieźle, bo jednak ta ichnia oszczędność na dobre im w gospodarce wychodzi. Ale najoszczędniejszy to był stary Sońta. Miał on pięknego konia. Dbał o niego nadzwyczajnie, bo Sońta jeszcze za cara w dragonach sługiwał i z wojska miał ten dryg do koni. Ale dryg do konia drygiem, a dudków było mu szkoda, aby paszy dokupić, bo akurat tak się składało, że Sońtowie łąki ni kawałka nie mieli. Kraść siana Sońta nie pójdzie, bo nie honor, a kupić żal. Stary wiarus wziął się więc na sposób. Zaczęli z synem konia uczyć. W niewielkim czasie tak konia przyuczyli, że na wieczór wyprowadzali konia ze stajni, a ten haman leciał od razu cudze żryć. To poszedł na drugą wieś na łąki, to na sąsiednie zboże szedł się pożywić, i skocyło bez dyle ino furkło. Pokos okropnie starabaniło, tak latało po łące. Pewnie jakie złe, abo co". Ale Deptule nie wierzyli, bo to pijawka okrutna i na pewno dał se wieczorem w szyje, bo od łąk wilgoć ciągnie i go w kościach łupie, więc jak mówi, musi pić jakieś ziółka na spirytusie. Przewodniczący Olearczyk domyślił się, że to koń Sońty był w inspekcji na spółdzielczej łące. A że przewodniczący też dudowiak, toć go serce okropnie rozbolało, że konisko za darmo spółdzielczym sianem się posiliło. Zebrał więc co młodszych członków, wzięli powrozy i zaczaili się na łące. Jednej nocy nic, drugiej też nie przylazł, ale trzeciej patrzą — idzie. Ostrożnie przebierał kopytami, by hałasu nie zrobić, strzygł uszami, wreszcie mykł przez dyle, którymi łączka była otoczona. Spółdzielcy otoczyli go powrozami i z wielkim trudem zapędzili do spółdzielczej stajni. Rano wołają po Sońtę. Przychodzi, a Olearczyk powiada: „Zapłacicie tera 500 złotych na budowę świetlicy gromadzkiej za te wszystkie szkody, co wasz koń całej gromadzie narobił". A Sońta powiada: „To nie mój koń, tyle że podobny". Poszedł stary do domu i czeka, aż Karoszek ucieknie ze spółdzielczej stajni, ale go tam dobrze pilnowali. Minął dzień jeden, drugi. Wreszcie Sońta przyszedł pod spółdzielnię. Niby nie ma żadnego interesu, tylko tak popatrzyć. Powiadają mu: „Sońta, bądźcie człowiekiem i zapłać, bo jak nie, to ci konia w twoje żyto wpuścimy, a on taki bestia futrowny, to cie zeżre z butami."*

Spluwa Sońta zły jak diabli, ale wreszcie targ w targ i zapłacił 400 zł i wozi materiał na remont świetlicy. A jak wiózł tę cegłę, to było czego posłuchać, tak przemawiał do konia jak pleban do huncfotów — parafian. „Ty złodzieju, rób tera za darmo, jakieś chciał za darmo sie żywić. Ty gadzie bezmyślny, cierp tera, jakieś lazł w spółdzielce". A Karoszek łypał ślepiami i ciągnął cegłę na gromadzką świetlicę. Od tego czasu Sońta coś sie zmienił. Uwidziało mu sie, że spółdzielnia to jest jednak siła. Cała wieś nie mogła poradzić Karoszkowi, a spółdzielcy zmogli gada. I wiecie, Sońta w krótkim czasie w gromadzkiej świetlicy, do której budowy on z koniem najwięcej z całej gromady się przyłożyli, oświadczył: „Przyjmijcie mnie do spółdzielni". Dziś Karoszek nie futruje po sąsiadach, a pasie się ze wszystkimi spółdzielczymi końmi — zakończył swoje opowiadanie Migoń, gdy minęliśmy ostatnie pole spółdzielni produkcyjnej w Dudach.

Jerzy Kazimierz Zaleyski

TOMASZ ATKINS

ZA KULISAMI PROWOKACJI

„WIOSNĄ nadziei" nazwał tegoroczną wiosnę Ilia Erenburg. Głoszona przez Związek Radziecki zasada, ze wszystkie sporne problemy międzynarodowe mogą i powinny być rozwiązane drogą pokojowych rokowań, zyskała poparcie większości ludzi na świecie. Wielka pokojowa akcja narodów zaczęła ostatnio wydawać owoce. W Korei osiągnięto porozumienie w sprawie rozejmu. W Niemczech uchwały Socjalistycznej Partii Jedności i rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej z dnia 9 czerwca ułatwiały osiągnięcie porozumienia w sprawie pokojowego zjednoczenia kraju. W Anglii i Francji dały się zauważyć oznaki ożywienia wymiany handlowej ze Związkiem Radzieckim i Chinami Ludowymi. Nadzieje rosły w sercach uczciwych ludzi pragnących pokoju dla siebie i dla swoich dzieci.

I wówczas, jednocześnie w Berlinie i na Korei padł rozkaz: rozpętać prowokację, przeszkodzić odprężeniu międzynarodowemu, zniszczyć dzieło wysiłku narodów.

Szykowane na taką właśnie chwilę bandy najmitów z zachodniego Berlina, instruowane przez hitlerowskich i amerykańskich speców dywersji, wtargnęły do demokratycznej części miasta, judząc i podburzając ludność do wystąpień antyrządowych. Plany były dalekosiężne: chcianc obalić władze demokratyczne, przenieść płomień wojny z Korei do Europy. Niezaprzeczalne fakty dowodzą, że ta nikczemna prowokacja ukartowana była od dawna. Jeszcze przed rokiem reakcyjny tygodnik zachodnioniemiecki „Der Spiegel" pisał: *„Generalny plan zaga nięcia władzy administracyjnej jest już prawie gotów. Po podpisaniu układu ogólnego przez kanclerza federalnego, Adenauera, brak jedynie okazji, by plan wcielić w życie"*. A więc chodziło tylko o sygnał.

W Korei, wbrew osiągniętemu przez dowództwo ONZ porozumieniu klika lisynmanowska uprowadziła 28 tysięcy jeńców północnokoreańskich i pewną liczbę jeńców chińskich, którzy mieli być przekazani neutralnej komisji rozejmowej. I tu plany były dalekosiężne: storpedować zawieszenie broni, rozpalić gasnący płomień wojny w pożogę, która objęłaby całą Azję. I tu niezbite fakty dowodzą, że prowokacja była ułożona od dawna. Burżuazyjna gazeta angielska „Manchester Guardian" pisała np., że *„dowództwo amerykańskie znało plan uprowadzenia jeńców przez Li Syn-Mana od pierwszej chwili rozmów w sprawie rozejmu."* A więc i tu chodziło tylko o sygnał.

Na czyj sygnał czekano? Z cyniczną otwartością odpowiedziała na to amerykańska agencja prasowa „Associated Press", której korespondent znalazł się „przypadkowo" w centrum zajść w Berlinie, a drugi — również „przypadkowo" — zjawił się w pobliżu obozu w Pusan, w chwili gdy uprowadzono stamtąd jeńców. W depeszy z 18 czerwca agencja ta w swoim komentarzu pisała dosłownie, że w wypadkach obu prowokacji Ameryka *„miała na celu zadać cios radzieckiej ofensywie pokojowej w decydującym momencie"*.

Wypowiedź ta aż nadto wyraźnie wskazuje, że prowokacja berlińska i koreańska spowodowane były s t r a c h e m w obozie imperialistów przed skutkami wielkiej pokojowej akcji narodów. Patrząc na rosnące i krzepnące siły pokoju podżegacze wojenni czują się jak osaczeni drapieżcy, miotają się z wściekłości i na oślep rzucają się w beznadziejne awantury. *Beznadziejne*, bo wobec czujnej i zdecydowanej postawy narodów każda prowokacja wojenna — jak dowodzą tego wydarzenia berlińskie — musi zakończyć się fiaskiem.

Prości ludzie na całym świecie rozumieją głęboki sens ostatnich wydarzeń w Berlinie. We wszystkich krajach wzrasta oburzenie przeciwko inspiratorom i organizatorom tej wojennej dywersji. A szczególną wymowę mają ostatnie wydarzenia dla narodu polskiego. *„Wypadki berlińskie to sprawa dotycząca nie tylko samych Niemców. Ten zamach na pokój godzi i w naszą ojczyznę"* — mówił na zebraniu elektrowni warszawskiej ślusarz Robert Uwina. Ci sami zbrodniarze, którzy usiłowali podpalić stołówki robotnicze w Berlinie — podpalali kiedyś miasta i wsie polskie. Ci sami oprawcy, którzy jak Erna Dorn, komendantka obozu w Ravensbrück, znęcali się nad więźniami polskimi w obozach koncentracyjnych, nawoływali teraz do zamordowania

działaczy Socjalistycznej Partii Jedności, dlatego m. in., że głoszą oni przyjaźń i braterstwo z narodem polskim.

Powszechnie wiadomo, że sojusz amerykańskich i bońskich imperialistów w celu przygotowania nowej awantury wojennej ostrzem swym godzi bezpośrednio w Polskę Ludową. Mówią o tym zresztą sami organizatorzy prowokacji berlińskiej:

Oto pierwszy z nich: Allan Dulles, szef wydziału operacyjnego amerykańskiego wywiadu, który nie przypadkowo przybył do Berlina na cztery dni przed wybuchem zajść. Jest to ten sam Dulles, który w swojej książce „Niemieckie Podziemie" przyznaje, że na początku ostatniej wojny światowej prowadząc tajne rokowania pokojowe z Niemcami hitlerowskimi ofiarował im *„wolną rękę w zaprowadzeniu porządku na Wschodzie i stworzeniu Wielkich Niemiec"*.

Oto drugi z nich: chadecki minister rządu bońskiego, Jakub Kaiser, oficjalny szef wszelkich dywersji przeciw NRD. Nie ma prawie dnia, w którym Kaiser nie podjudzał by do nowej wojny, nie sięgał w swych wrzaskach propagandowych po tereny polskie, zarówno po nasze ziemie zachodnie jak i po Stalinogród, Łódź, Poznań i Kraków. Kaiser, tak jak Allen Dulles, chciał by Polskę wykreślić z mapy Europy.

Trzeci z organizatorów prowokacji —przywódca prawicy socjaldemokratycznej, Ollenhauer — to najkrzykliwszy orędownik wskrzeszenia Wehrmachtu hitlerowskiego, wzywający do *„prowadzenia wojny nad Wisłą"*.

I wreszcie Konrad Adenauer, kanclerz Bonn, europejskie wydanie krwawego Li Syn Mana.

„To, co robimy w Niemczech, nie różni się od tego, co robimy w Korei" — wyznał kiedyś w przystępie szczerości były wysoki komisarz USA w Bonn, generał i bankier nowojorski Mac Cloy. Adenauer w Niemczech zachodnich hodowany jest przez wojskowo - giełdziarską rządzącą klikę amerykańską w tym samym celu, co Li Syn Man w Korei — aby przeszkodzić jedności kraju i wykorzystując fakt jego rozbicia prowokować awanturę wojenną. Berlińska prowokacja była kłodą rzuconą pod nogi rządu NRD, który właśnie w ostatnim czasie podjął szereg uchwał, zmierzających do ułatwienia porozumienia w sprawie pokojowego zjednoczenia Niemiec na podstawach demokratycznych. Ta kłoda została usunięta, ale jak pokazały wydarzenia w Berlinie, podżegacze wojenni nie śpią i aby usunąć groźbę nowych podobnych prowokacji, narody muszą wzmóc walkę o pokojowe zjednoczenie Niemiec.

Rozbite Niemcy, to żer dla wszelkiego rodzaju szowinistycznych i imperialistycznych awanturników, którzy pod pozorem „zjednoczenia kraju" szykują wojnę odwetową do napaści na ZSRR, Polskę i inne kraje demokracji ludowej.

Okupowane Niemcy zachodnie — to podstawa agresywnych planów imperializmu amerykańskiego. One to mają dostarczyć żołnierza dla armii napastniczej, one mają z kuźni wojennej Zagłębia Ruhry dostarczyć oręża dla tej armii. One wreszcie mają stać się amerykańskim żandarmem Europy.

I dlatego walka o utworzenie zjednoczonych, demokratycznych i pokój miłujących Niemiec jest walką o utrzymanie pokoju w Europie.

Tomasz Atkins

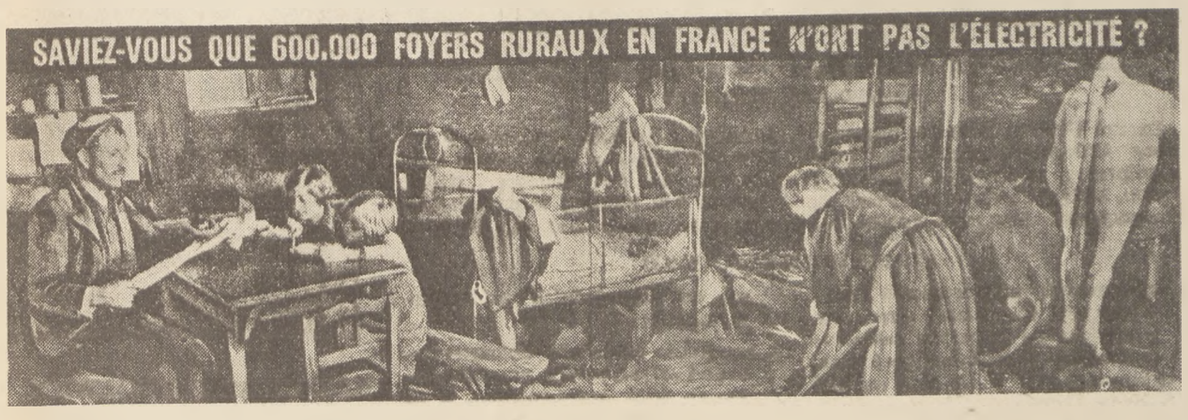

ANDRZEJ SZARSKI

STARA I NOWA BASTYLIA

14 lipca miną 164 lata od tego historycznego dnia, kiedy lud francuski w potężnym zrywie nienawiści i bohaterstwa zburzył Bastylię, kładąc tym kres panowaniu we Francji ciemnych sił średniowiecza.

„Cały XIX wiek, ten wiek, który dał cywilizację i kulturę całej ludzkości — pisał Lenin — przeszedł pod znakiem rewolucji francuskiej".

Dla wielu pokoleń zburzenie Bastylii, hasła „wolności, równości i braterstwa" oraz Marsylianka stanowiły symbol najszlachetniejszych dążeń ludzkich do lepszego jutra, w którym nie będzie wyzysku, oszustwa i nędzy.

Upadek Bastylii nie przyniósł jednak prawdziwej swobody ludowi francuskiemu. Dzieło, zapoczątkowane przez naród francuski w roku 1789, w Rosji doprowadziła do końca Rewolucja Październikowa, która dała ludowi władzę i umożliwiła mu zbudowanie ustroju sprawiedliwości społecznej.

Historia Francji w ostatnich latach, to wyprzedawanie kraju monopolistom zza oceanu i stałe pogarszanie warunków życia ludu pracującego.

W 1947 r. Francja przyjęła plan Marshalla i zaznała „dobrodziejstw" tak zwanej pomocy amerykańskiej. Jakież następstwa wywołała owa pomoc w gospodarce narodowej Francji? Importowane towary amerykańskie zalewając rynek francuski wypychają zeń wyroby rodzimego przemysłu. Liczba bezrobotnych wzrosła od 1947 r. siedmiokrotnie i przekracza dziś 3 milionów ludzi. Jednocześnie rosną ceny i podatki. Na wsi francuskiej, która zawsze odczuwała brak rąk roboczych, jest teraz milion ludzi „zbędnych". Udział mas pracujących w dochodzie narodowym obniżył się katastrofalnie: z 45% w roku 1938 spadł do 29% w roku 1951.

Wydatki na przygotowania wojenne, wynikające z udziału w agresywnym bloku atlantyckim, oraz „brudna wojna" w Vietnamie pochłaniają lwią część budżetu francuskiego. Sama wojna przeciw narodowi vietnamskiemu kosztuje skarb państwa 2 miliardy 200 milionów franków dziennie. Nic też dziwnego, że nad Francją zawisł złowrogi cień finansowego krachu.

Masy pracujące Francji stawiają energiczny opór antyludowej i antynarodowej polityce rządzącej reakcji. W całym kraju przybiera na sile akcja strajkowa; w jej toku wykuwa się jedność działania całej klasy robotniczej.

W obliczu widma katastrofy finansowej i rosnącego oporu mas klasie panującej coraz trudniej rządzić według zasad dogodnych dla warstw, wyprzedających amerykańskiemu okupantowi wszystkie dobra Francji. Kryzysy rządowe stają się coraz częstszym zjawiskiem; ostatni z nich trwał 5 tygodni bijąc wszelkie rekordy długotrwałości. Nowy premier, Laniel — bogaty przemysłowiec, kontynuując antyludową politykę swych poprzedników usiłuje przyśpieszyć faszyzację ustroju. Ogłoszony przez niego projekt „rewizji konstytucji" zamierza zapewnić rządowi nadzwyczajne pełnomocnictwa, uprawniając go do wydawania ustaw bez zgody parlamentu, do pozbawiania posłów ich nietykalności oraz do rozwiązywania parlamentu według swego uznania. Cel tego jest jasny: chodzi o rozszerzenie kompetencji kapitalistycznego rządu „silnej ręki" kosztem wybranego w bezpośrednich wyborach przez sam lud parlamentu. Po raz pierwszy weszli do rządu przedstawiciele herszta partii faszystowskiej de Gaulle'a; jednemu z nich nawet zostanie powierzone opracowanie wniosku o tzw. „reformie konstytucji".

Słowem, wisząca nad Francją groźba faszyzmu uwidacznia się coraz jaskrawiej. Zaprzedana Waszyngtonowi rodzima reakcja pragnie stłumić we krwi wszelki opór przeciw polityce nędzy, wojny i zdrady narodowej.

Zrealizowaniu tych zbrodniczych zamysłów stoi na przeszkodzie naród francuski, który pod wodzą Komunistycznej Partii Francji coraz energiczniej walczy przeciw zamachowi na resztki swobód demokratycznych i przekształcaniu Francji w kolonię amerykańską. Naród francuski domaga się utworzenia demokratycznego rządu, gotowego bronić interesów ludu i przyczyniać się do utrwalenia pokoju i przyjaźni między narodami.

Andrzej Szarski

RYSZARD KORN

MÓWI MŁODZIEŻ Z FRANCUSKICH WIOSEK

NIE najlepiej dzieje się obecnie na wsi francuskiej. Ostatnie dziesięciolecia przyniosły silny odpływ ludności wiejskiej do miast. Wyludniły się całe połacie kraju, w niektórych wsiach ilość mieszkańców zmalała w ciągu ostatniego półwiecza do jednej czwartej. Degradacja rolnictwa francuskiego spowodowana polityką rządów burżuazyjnych ciąży coraz dotkliwiej na życiu ekonomicznym i politycznym Francji.

Dlaczego tak się dzieje? Jak zaradzić złu? — Oto pytania, jakie postawiło postępowe pismo chłopskie „La Terre" swym czytelnikom w ankiecie rozpisanej wśród młodzieży wiejskiej. Przytoczone wypowiedzi młodych chłopów i chłopek francuskich są wymownym wyrazem panujących wśród młodzieży nastrojów.

Oto co w odpowiedzi na ankietę „La Terre" pisze Jean Le Canu ze wsi Lohuec w Bretanii:

„Jestem młodym rolnikiem, synem biednej Bretanii, gdzie bardzo ciężka praca przynosi nędzne plony.

Moja wioska pozbawiona jest dróg, żyjemy w nędznych budynkach, bez jakichkolwiek wygód i bez elektryczności. Cóż więc dziwnego, że młodzi uciekają do miasta. Mieszkam w nędznym pokoiku, którego umeblowanie składa się z rozbitego łóżka pokrytego źle załatanym kocem, z krzesła z odłamanym oparciem, z szafy o drzwiach pogrzionych przez szczury, ze stołu na trzech nogach, wspartego dla równowagi drewnianym klocem, gdzie nie ma umywalki, ani miednicy, ani dzbana na wodę. Aby dostać się z mego pokoju do ustępu, trzeba przebyć sto pięćdziesiąt metrów.

Dodajmy do tego dwadzieścia kilometrów, aby dotrzeć do lekarza, 40 kilometrów, aby móc wykąpać się w łaźni, 8 kilometrów do najbliższego kiosku z tytoniem i z gazetami i 50 kilometrów, aby znaleźć księgarnię".

Henri Pons ze wsi Mons koło Oradour (Środkowa Francja) pisze:

„Mam siedemnaście lat i pracuję w gospodarstwie mych rodziców. Moja wioska liczy 12 gospodarstw. Położona jest w odległości paru kilometrów od miasteczka, do którego prowadzi droga znajdująca się w bardzo złym stanie.

Długie zimowe wieczory upływają monotonnie na grze w karty lub na drobnych pracach, jak robienie mioteł, koszy, czy słomianek. Nie ma mowy o dokształcaniu się, czy o korzystaniu ze swej młodości. Jest to również uniemożliwione przez zupełny brak stowarzyszeń kulturalnych i zrzeszeń sportowych. Po wojnie 50 procent młodych opuściło moją gminę, aby osiedlić się w miescie, gdzie wielu z nich jest obecnie bez pracy. Pozostali tutaj tylko ci, których rodzice posiadają ziemię i którzy nie mają przy tym licznego rodzeństwa. Chciałem się uczyć, ale brak mi na to środków, jestem więc zmuszony pozostać na wsi i pracować w gospodarstwie moich rodziców. Jest rzeczą pewną, że nasze położenie nie poprawi się, jak długo będziemy mieli rząd, który trwoni miliardy, aby przygotować naszą śmierć, zamiast zużytkować je dla zapewnienia nam lepszej przyszłości.

Oto co pisze Alicja Jacquemoud ze wsi Cernex (Alpy):

„Jestem córką chłopów mieszkających w małej wiosce sabaudzkiej Cernex. Młode dziewczęta opuszczają tu zazwyczaj szkołę podstawową w 14 roku życia, po czym zostają na gospodarstwie. Niektóre opuszczają szkołę wcześniej, gdyż są potrzebne rodzicom przy pracy. Ich położenie jest gorsze od położenia chłopców, gdyż poza pracą w polu i oborze mają jeszcze obowiązki związane z gospodarstwem domowym. Dziewczęta wykonują najcięższe prace, nieraz przekraczające ich siły, ale trudno, aby było inaczej. Dochody z gospodarstwa nie wystarczają na zakup nowoczesnych narzędzi, tak że trzeba je zastąpić rękami. O rozrywkach — szkoda nawet mówić. To samo dotyczy nauki i czytelnictwa, gdyż we wsi nie ma ani biblioteki, ani świetlicy, ani kina.

Większość tych, które opuściły wieś, pracują obecnie w mieście jako służące.

Oto jak żyją dziewczęta z Cernex. Po to, aby młodzież chłopska mogła się wreszcie uczyć i znaleźć godziwą rozrywkę, aby dziewczęta wiejskie mogły znaleźć radość młodości i nadzieję na lepsze, szczęśliwsze życie, trzeba aby we Francji doszli do władzy ludzie, którzy na ten cel zechcą poświęcić miliardowe fundusze marnotrawione dotąd na przygotowania wojenne.

Ryszard Korn

ALBERT ROLLAND

FABRYKI I UNIWERSYTETY W DŻUNGLACH VIETNAMU

OD blisko 8 lat toczy się bohaterska walka narodu vietnamskiego przeciwko kolonistom francuskim, popartym przez imperializm amerykański. A przez ten cały okres, podczas gdy na frontach trwają zawzięte boje, w oswobodzonych okręgach kraju odbywa się pokojowe budownictwo nowego życia.

*

Naród vietnamski uzyskał niepodległość we wrześniu 1945 r. Ale młoda republika ludowa zaledwie przez jeden rok korzystała z pokojowego życia. Francuskie wojska kolonialne, które przez wiele lat przed II wojną światową okupowały ten kraj, wróciły w końcu 1946 r., by zacząć swą „brudną wojnę" przeciwko pokojowej ludności Vietnamu.

Spodziewając się przybycia imperialistów vietnamskie władze ludowe zawczasu ewakuowały najważniejsze zakłady pracy z miast nadmorskich do dżungli w głębi kraju.

W sercu dżungli znajduje się obecnie wiele fabryk, z których niektóre zatrudniają po parę tysięcy ludzi. Przemysł ten stale się rozwija. W gęstych lasach pracują na całą parę fabryki kwasu siarkowego, przemysłu farmaceutycznego oraz zakłady hutnicze i przemysł maszynowy. Rozwija się też wydobycie rudy żelaznej, węgla i metalów kolorowych, których bogate złoża zostały odkryte w ostatnich latach. Wydobycie węgla zwiększyło się tu kilkanaście razy w porównaniu z 1945 r., a wydobycie fosfatów kilka razy. Przemysł włókienniczy i papierniczy całkowicie zaspokaja rosnące potrzeby ludności. Poziom życia robotników, zatrudnionych w fabrykach zainstalowanych w dżungli, stale się podnosi.

Radykalnie zmieniła się też sytuacja chłopstwa vietnamskiego.

Do proklamowania niepodległości lwia część ziemi należała do miejscowych feudałów oraz do plantatorów francuskich. Większość chłopów musiała brać w dzierżawę ziemię obszarniczą i opłacać za nią czynsz w wysokości do 50 — 60 proc. od zbiorów. Nic dziwnego, że chłopi ci byli zawsze zadłużeni po uszy. Aby zwiększyć zyski francuskiego towarzystwa „Distilleries Indochinoises", posiadającego monopol na sprzedaż alkoholu, władze kolonialne wprowadziły w 1934 r. przymusową konsumcję wódki. Każda wioska musiała nabywać określoną ilość alkoholu, proporcjonalną do ilości mieszkańców. W razie „niewypełnienia normy" władze nakładały na wsie zbiorowe kary.

W pogoni za szybkimi zyskami francuskie monopole handlowe forsowały eksport ryżu, nie licząc się z potrzebami ludności. W rezultacie w kraju wybuchały periodyczne klęski głodowe, które powodowały setki tysięcy ofiar.

Władze ludowe od samego początku wzięły się do likwidowania tego smutnego stanu rzeczy. W 1948 roku władze udzieliły chłopom 50 milionów piastrów kredytu, a w 1952 r. już ponad 200 milionów piastrów. Jednocześnie skonfiskowano wszystkie grunta plantatorów francuskich i miejscowych obszarników, którzy współpracowali z okupantami. Ziemię tę rozdzielono wśród chłopów.

Wiosną bieżącego roku przeprowadzono nową, ogólną reformę rolną. Tym razem wszystkie majątki obszarnicze zostały skonfiskowane, a ich ziemia podzielona wśród chłopów małorolnych.

Wszystko to przyniosło radykalną poprawę sytuacji materialnej ludności wiejskiej. Zbiory ryżu, kukurydzy, tapioki, innych produktów rolnych wzrosły kilkakrotnie w ostatnich latach.

Swoje sukcesy i bogate zbiory chłopi zawdzięczają w niemałej mierze swym organizacjom samopomocowym. W całym kraju istnieje obecnie 25 tysięcy takich organizacji. Ich działalność polega w pierwszym rzędzie na zespołowej uprawie poszczególnych gospodarstw indywidualnych i odłogów.

Społeczeństwo okręgów oswobodzonych może się też poszczycić dużymi sukcesami na polu kultury. Pod administracją francuskich „cywilizatorów" analfabeci stanowili 90 proc. ludności kraju. Dziś masy analfabetów można znaleźć jedynie w okupowanych rejonach kraju. W wolnym zaś Vietnamie analfabetyzm szybko zanika, a w 5 wyzwolonych prowincjach nie ma już ani jednego niepiśmiennego człowieka.

Obecnie w każdej gromadzie istnieje szkoła podstawowa. Na terenach wyzwolonych wszystkie dzieci w wieku szkolnym uczęszczają dziś do szkół. Między 1945 r. a 1952 r. liczba szkół podstawowych wzrosła więcej niż dwukrotnie. Liczba uczniów szkół średnich wzrosła zaś czterokrotnie.

W głębi dżungli powstał też szereg wyższych uczelni, jak np. Wyższa Szkoła Rolnicza, Instytut Architektury, Politechnika, Szkoła

Medyczna i Prawnicza oraz Instytut Nauk Społeczno - Ekonomicznych, który szkoli kadry dla administracji państwowej. Zainstalowany w dżungli uniwersytet posiada więcej studentów niż uniwersytet w okupowanym mieście Hanoi.

Po raz pierwszy w historii Vietnamu nauka przestała być monopolem klasy mandarynów. Szeroko udostępniono dostęp do wiedzy dzieciom robotników i chłopów. Francuski postępowy dziennikarz Leo Figueres, który w 1950 r. odwiedził liceum techniczne na terenie wyzwolonym, stwierdził, że na 80 uczni 70 było dziećmi robotników i chłopów. Do szkół wyższych i średnich kieruje się wraz z absolwentami odpowiednich szkół niższego stopnia również najzdolniejszych robotników z zakładów pracy lub utalentowanych żołnierzy i oficerów z jednostek wojskowych.

*

Naród vietnamski w nader ciężkich warunkach walczy o wolność i niepodległość swego kraju. Jest on odcięty od dużych miast i portów swego kraju, znajdujących się jeszcze pod okupacją imperializmu.

Nie bacząc jednak na wszystkie te trudności Ludowo - Demokratyczna Republika Vietnamu może się poszczycić ogromnymi osiągnięciami, które świadczą, do czego zdolny jest naród, którego energia twórcza została wyzwolona z pęt imperializmu.

Albert Rolland

KONKURS DLA WSI

«Dziś i wczoraj wsi polskiej — w samorodnej twórczości plastycznej chłopów»

Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej organizuje przy współpracy: Ministerstwa Kultury i Sztuki, Związku Młodzieży Polskiej, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i Związku Polskich Artystów Plastyków — **ogólnopolski konkurs dla wsi pod hasłem „Dziś i wczoraj wsi polskiej w samorodnej twórczości plastycznej chłopów".**

CELEM KONKURSU JEST:

1. **skierowanie zainteresowań artystycznych wiejskich amatorów plastyków na tematykę odzwierciedlającą przemiany społeczne, gospodarcze i kulturalne na wsi oraz związanie tej twórczości z zadaniami przebudowy wsi;**
2. **popieranie samorodnej twórczości artystycznej na wsi w dziedzinie plastyki oraz pomoc wybitnie uzdolnionym przez ich skierowanie do odpowiednich szkół plastycznych;**
3. **uzyskanie materiału dokumentarnego i artystycznego, przedstawiającego wieś przedwojenną, w okresie wojny i po wyzwoleniu;**
4. **zainteresowanie plastyków zawodowych współczesną samorodną twórczością wiejską celem wzbogacenia ich twórczości.**

TEMATYKA KONKURSU.

Pod względem tematycznym konkurs obejmuje cztery działy:

Dział I: — przemiany społeczne, gospodarcze i kulturalne na wsi po wyzwoleniu.

Dział II: — wieś w ustroju kapitalistycznym.

Dział III. — wieś w czasie wojny i okupacji hitlerowskiej.

Dział IV: — tematyka dowolna.

WARUNKI KONKURSU.

W konkursie mogą brać udział wszyscy mieszkańcy wsi zarówno młodzież, jak i starsi spółdzielcy oraz robotnicy Państwowych Gospodarstw Rolnych, którzy obok swej pracy zawodowej uprawiają amatorsko sztuki plastyczne.

W konkursie mogą również wziąć udział wiejscy słuchacze ognisk kultury plastycznej.

Uczestnik konkursu może nadesłać dowolną ilość prac w dowolnym formacie i wykonanych dowolną techniką. Mogą to być rysunki wykonane ołówkiem, węglem, kredką, piórem lub pędzlem, prace wykonane farbami wodnymi (tzw. akwarelami) i olejnymi, obrazy na szkle, drzeworyty, wycinanki i malowanki, inne rzeźby i płaskorzeźby w drzewie, glinie, kamieniu, węglu i metalu. Mogą to być hafty, koronki, kilimy wyrażające tematykę wyszczególnioną w warunkach konkursu.

Obok uczestników indywidualnych w konkursie mogą wziąć udział również kilkuosobowe zespoły świetlicowe, które przepracują wspólne serie prac możliwie powiązanych tematycznie.

Uczestnicy konkursu przesyłają swoje prace bezpośrednio do Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej, Wydział Oświaty i Kultury, Warszawa, Plac Starynkiewicza 7, lub do najbliższego zarządu powiatowego ZSCh. Na przesyłce i kopercie należy uwidocznić napis:

„Ogólnopolski konkurs — „Wieś wczoraj i dziś". Termin nadesłania prac upływa z dniem 31 października 1953 r.

NAGRODY

Przewiduje się przyznawanie 3-stopniowych nagród indywidualnych i zespołowych. Nagrody indywidualne będą przyznawane w formie premii pieniężnych za prace najlepiej opracowane tematycznie i artystycznie; nagrody zespołowe w formie rzeczowej za serie prac wykonywanych kolektywnie.

Nagrody te będą własnością świetlicy lub zespołu.

Nagroda zespołowa nie odbiera prawa do uzyskania nagrody indywidualnej.

Przewiduje się również nagrody pocieszenia dla uzdolnionych uczestników konkursu, których prace nie zostaną zakwalifikowane do nagrody pieniężnej.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi najpóźniej do 30 grudnia 1953 roku.

Konkurs zakończy się wystawą w Warszawie i zjazdem wyróżnionych autorów. W zjeździe wezmą również udział czołowi przedstawiciele polskiej plastyki.

Szczegółowych wyjaśnień o warunkach konkursu i informacji o źródłach nabycia materiałów do pracy udzielać będą przez cały czas trwania konkursu:

a) Oddziały Kultury przy Prezydiach Powiatowych Rad Narodowych;

b) Zarządy Powiatowe Związku Samopomocy Chłopskiej;

c) Zarządy Powiatowe Związku Młodzieży Polskiej.

Przykładowa tematyka

Przemiany na wsi

Spójnia gospodarcza wsi z miastem w oparciu o sojusz robotniczo-chłopski.

Likwidacja obszarnictwa — reforma rolna.

Wysiłek klasy robotniczej w zaopatrywaniu wsi.

Działalność gminnych spółdzielni ZSCh.

Wywiązywanie się gromad z obowiązkowych dostaw produktów rolnych i hodowlanych (odstaw zboża, ziemniaków, roślin przemysłowych, żywca, mleka i jaj do punktu skupu, zlewni itp).

Podejmowanie zobowiązań produkcyjnych.

Rola PZPR, ZSL, Rad Narodowych, Zw. ZSCh, Koła Gospodyń, ZMP, świetlic w życiu gromady, w walce o podniesienie produkcji o terminowe przeprowadzenie prac rolnych, organizacja pomocy sąsiedzkiej; wspólne akcje gromady przy naprawie dróg, mostów, melioracji, w walce ze stonką ziemniaczaną itp.

Plan 6-letni zmienia oblicze wsi (praca czeka na człowieka; młodzież wiejska uczy się nowych zawodów; młodzież wiejska na budowach socjalizmu — przy budowie Nowej Huty itp).

Braterskie więzy wsi z odrodzonym ludowym Wojskiem Polskim.

Klasa robotnicza daje przykład, jak walczyć o zwycięskie wykonanie planów produkcyjnych. Wycieczki chłopów do zakładów przemysłowych. Spotkania z robotnikami.

Obrazki z życia spółdzielni produkcyjnej. Rola POM w zmechanizowaniu uprawy. Mechaniczny sprzęt i młocka. Brygady polowe w pracy. Wzrost dobrobytu spółdzielców.

Opieka nad matką i dzieckiem (w żłobku i przedszkolu).

Współzawodnictwo pracy w rolnictwie. Zobowiązania młodzieżowe.

Praca i życie w Państwowym Gospodarstwie Rolnym (warunki pracy, osiągnięcia; rysunki, ilustrujące życie robotników rolnych PGR; rysunki wspomnieniowe z życia i pracy tych samych robotników w majątku).

Korzystanie z radzieckich doświadczeń w rolnictwie. — Praca kółka miczurinowskiego (na poletku doświadczalnym w chacie - laboratorium).

Wspomnienia z wycieczki do Związku Radzieckiego (w gościnie u kołchoźników radzieckich: o zilustrowanie tego tematu może się pokusić nie tylko uczestnik wycieczki, lecz każdy, kto miał sposobność usłyszeć z ust naocznego świadka o osiągnięciach radzieckiego rolnictwa).

Państwo Ludowe zapewnia chłopu dostęp do oświaty i udziału w tworzeniu kultury narodowej.

Zwalczenie analfabetyzmu w gromadzie.

Młodzież wiejska w nowej szkole.— Praca w świetlicy lub kole samokształceniowym, upowszechnienie wiedzy rolniczej, konkurs czytelniczy. — Zespół redakcyjny gazetki gromadzkiej przy pracy. — Zespół artystyczno - widowiskowy w obchodach.

Odwiedziny robotniczych zespołów artystycznych i Wojska Polskiego.

Rozwijanie regionalnej twórczości ludowej.

Elektryfikacja wsi. — Przyjazd kina objazdowego. — Stałe kino na wsi.

Wiejski Ludowy Zespół Sportowy.

Wieś w ustroju kapitalistycznym

Zacofanie wsi w ustroju kapitalistycznym (prace gospodarcze przy zastosowaniu prymitywnych narzędzi — orka, siew, żniwa, wykopki, młocka itp.)

Warunki życia biedoty wiejskiej na gospodarstwie karłowatym (niedola komorników, kobiet, dziecka w wieku szkolnym). — Praca najemna we dworze i u bogaczy wiejskich. Wyzysk pracy małoletnich i kobiet przez dwory w okresie pilnych robót w polu.

Wyzysk siły roboczej przez kapitalistyczny przemysł (warsztaty chałupnicze na wsi).

Przejawy zacofania gospodarczego na wsi (wiara w czary i zabobony, rola babek i znachorów wiejskich).

Życie rodzinne na wsi (kłótnie rodzinne przy działkach, ustalaniu dożywocia, spory o miedzę, pijaństwo i jego skutki).

Walka chłopów z sanacją (strajki rolne i demonstracje, pacyfikacja wsi przez policję sanacyjną, egzekwowanie — sekwestratorzy i komornicy).

Wieś w okresie wojny i okupacji hitlerowskiej

Walka narodu z najazdem hitlerowskim. — Chłopi w partyzantce, Gwardii Ludowej, w Armii Ludowej, w Batalionach Chłopskich. Obrazy i rysunki z akcji zbrojnych przeciwko okupantowi.

Represje okupanta (łapanki na roboty przymusowe—egzekucje masowe na wsi — obozy koncentracyjne).

Wyzwolenie Polski

Wkroczenie oddziałów Armii Czerwonej i Wojska Polskiego. — Braterstwo broni żołnierza polskiego i radzieckiego (wspomnienia żołnierskie w formie rysunków i obrazów — z walk w szeregach Wojska Polskiego).

Zniszczenia wojenne na wsi. — Życie na przyczółkach frontowych, w ziemiankach itp.

Prace o dowolnej tematyce

Tradycje walk narodowych i wyzwoleńczych w naszej okolicy (bunt Kostki - Napierskiego, obrazki z Powstania Kościuszkowskiego, działalność ks. Piotra Ściegiennego itp).

Portrety bojowników o wolność i socjalizm. Portrety przodowników pracy. Fragmenty budującej się okolicy lub innych obiektów socjalistycznego budownictwa.

Ilustracje do przeczytanych książek. Ilustracje do gazetek gromadzkich. Projekty dekoracji świetlic itp.

KAZIMIERZ PIETKIEWICZ

W ZWIĄZKU Z KONKURSEM

DZIESIĘCIOLETNI okres rozwoju sztuki ludowej, okres, w którym przypadła jej zaszczytna rola reprezentowania kultury polskiej, domagał się zamknięcia i podsumowania przebytego już etapu. Dlatego Związek Samopomocy Chłopskiej, ogłosiwszy w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki ogólnopolski konkurs dla wsi pod hasłem: „Dziś i wczoraj w samorodnej twórczości plastycznej chłopów" umożliwił obliczenie jej dorobku.

Podsumowując 9-letni okres pracy w dziedzinie sztuki ludowej, widzimy wielkie przemiany. Są one widoczne przede wszystkim w sztuce wyobrażeniowej, a więc w malarstwie, w rzeźbie, w tematycznym wycinkarstwie ludowym. Te trzy dziedziny sztuki najbardziej związały się z problematyką współczesnego życia wsi, jak przebudowa gospodarki wiejskiej, walka o pokój i inne. Malarstwo na szkle — podhalańskie czy zalipiańskie — jest nie tylko odbiciem przemian, które dokonują się w tych ośrodkach; sięga ono nawet do historii społecznych ruchów chłopskich. Bohaterskie postacie Kostki Napierskiego i Janosika Nędzy-Litmanowskiego ożyły w pięknej sztuce malarki Roy-Kozłowskiej, przypominając młodszemu pokoleniu wspaniałe zrywy przodków.

Bardzo żywo i w sposób artystycznie dojrzały reagują na problemy nurtujące wieś polską i cały kraj — autorki barwnych wycinanek łowickich, kurpiowskich czy kaszubskich.

W rzeźbie ludowej nastąpił wyraźny przełom; w przeszłości była ona całkowicie związana z wierzeniami religijnymi lub przedstawiała tematy biologiczne. Obecnie ludowi rzeźbiarze chwytają życie na gorąco. Rzeźbią oni nowych ludzi, nieznane im dotąd maszyny, pragnąc w swoich rzeźbach odtworzyć otaczające ich od lat kilku nowe życie.

Za tymi dziedzinami sztuki ludowej podążają inne: nawet w tak trudnej do podporządkowania treści technice, jakiej wymaga tkactwo, można dostrzec tendencje do związania się z życiem. Przejawia się tu wyraźna dążność do wzrostu poziomu artystycznego i pragnienie artystów do wypełnienia określonej funkcji społecznej.

Rezultat pracy artysty zależy od szczerości jego przeżycia, od jego dojrzałości społecznej i politycznej.

Organizacje masowe i świetlice poświęcają w terenie wychowaniu twórcy ludowego zbyt mało uwagi. Można by przytoczyć niemało faktów, świadczących, że utalentowany twórca ludowy na swoim terenie długo pozostawał w cieniu, że nie otrzymywał pomocy zarówno materialnej, jak ideologicznej i wychowawczej.

Omawiany tu konkurs będzie miał dla twórczości plastycznej wsi ogromne znaczenie, gdy terenowy aktyw ZSCh, ZMP i świetlice nie przestaną do końca szeroko propagować i omawiać z twórcami ludowymi jego doniosłości.

Terenowy aktyw kulturalny powinien usilnie dążyć do tego, by ludowi plastycy wzięli czynny udział w konkursie, żeby dali z siebie najwięcej, żeby godnie reprezentowali swój teren.

Od chwili ogłoszenia konkursu minęło pół roku; do zakończenia pozostaje więc zaledwie cztery miesiące. Najwyższy zatem czas, aby ogniwa terenowe ZSCh, ZMP i świetlice skoncentrowały na konkursie swą uwagę, dotarły do wszystkich, którzy w jakiejkolwiek technice artystycznej mogą w nim wziąć udział, omówiły z nimi warunki, zainteresowały się postępami pracy artystycznej twórców i tematami tej pracy oraz zachęciły ociągających się — do udziału w konkursie.

Ze specjalnym apelem zwracamy się do świetlic położonych w szczególnie ożywionym terenie plastycznym. Świetlice te powinny: zorganizować dla zainteresowanych specjalne pogadanki na temat konkursu, zasygnalizować odnośnym czynnikom potrzeby materialne twórców przygotowujących prace i pomóc w uzyskaniu pomocy.

Uchwały I Ogólnopolskiego Zjazdu Przodujących Kierowników Świetlic zalecające roztaczanie opieki nad talentami plastycznymi wsi i włączanie ich działalności artystycznej w nurt życia świetlicowego, powinny się przejawić w praktycznej działalności świetlic na odcinku konkursu.

Apelujemy również do spółdzielni CPLiA, aby zachęciła twórców ludowych, zrzeszonych w spółdzielniach, do wzięcia udziału w konkursie.

Przypominamy twórcom ludowym, że poziom sztuki ludowej będzie ich dziełem. O jej pięknie i głębokiej ideowości zadecydują oni sami swoją aktywnością i zrozumieniem roli, jaką spełniają w tworzącym się nowym społeczeństwie.

Po okresie wytężonej pracy przedkonkursowej, wystawa sztuki ludowej na 10-lecie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, może stać się wspaniałym obrazem dorobku Polski odrodzonej i jej bujnie rozkwitającej dziś sztuki ludowej.

Kazimierz Piętkiewicz

WOJCIECH DRYGAS

DWIE BRYGADY

— Co tam?

— Telefon! — wymamrotał pod nosem księgowy Kiszka.

Wemborek podjął słuchawkę.

— Hę? — huknął w mikrofon, a po chwili jeszcze mocniejszym i bardziej stanowczym tonem: — A ja ci powiadam, Heniek, nie bądź taki przemądrzały! Rób swoje, a do mojej brygady się nie wtrącaj! Rozumiesz?

Wielce wzburzony skierował się w stronę drzwi. Na progu zatrzymał go księgowy:

— Synek?

— A tak, syn...

— Co tam nowego?

Przemilczając dyplomatycznie owe „słowa", te „słowa" które oderwały ucho od dzbana, Wemborek odparł na pozór spokojnie:

— Ii nic... Cóż by tam mogło być? Tyle powiedział, że skończą do szóstej i pytał jak u nas...

— Tak, tak... — zachichotał trochę drwiąco. — Nieźle się spisuje ten wasz syn. Nie chcę być złym prorokiem, panie Wemborek, ale do szóstej nie dacie mu rady. Już ja wam to mówię...

Stary brygadzista skrzywił się kwaśno i opuścił kancelarię bez odpowiedzi. Był piekielnie zły! Z takim samym pośpiechem udał się do swojej brygady, spożywającej obiad pod rozłożystymi klonami w parku. Po drodze zajrzał do notesu. Mieli do wykoszenia jeszcze spory szmat łąki, coś ze dwadzieścia hektarów, a tymczasem nie bardzo było czym kosić. Wprawdzie przydzielono im cztery kosiarki, ale pociechy z nich było niewiele. Wczoraj przez całą godzinę zmieniali jakiś złamany tryb, dzisiaj, w pobliżu „piekiełka" — tak nazywano szeroką na kilka metrów rozpadlinę po wyschniętym strumieniu — stanęła druga maszyna.

Sytuacja u Heńka, syna Wemborka i brygadzisty polowego w sąsiednim pegeerze, była daleko lepsza. Co prawda posiadał on do swej dyspozycji także tylko cztery kosiarki mechaniczne, lecz były to maszyny zupełnie nowe, cięły trawę jak brzytwa.

— Łatwo ci się śmiać, Milczarek! A ten łotr, kiedym z nim rozmawiał przez telefon, powiedział mi takie słowa... takie piekielne słowa, że szkoda gadać...

— Co to za słowa?

— Ech, to nie na wynos! Rozumiesz, takie familijne sprawy.

Zapanowało znów dłuższe milczenie i naraz Wemborkowi błysnęła myśl. Poderwał się jak oparzony:

— A te nowe maszyny co je nam wczoraj przysłali?

— Które to? — podniósł głowę Wąs.

— Ano, te trójczłonowe radzieckie...

— Trzeba je napierw zmontować — wtrącił Milczarek. — To potrwa...

— Wielka mi mądrość — przetarł okulary mechanik Suseł. — Odbijemy opakowanie, złożymy do kupy i... hajda w pole.

Ale tutaj nastąpiły nieprzewidziane trudności. Pomysł wykorzystania do akcji nowoczesnych kosiarek radzieckich napotkał ostry sprzeciw ze strony księgowego Kiszki.

— Już ja was znam... — skrzeczał łamiącym się głosem. — Kierownik i sekretarz organizacji partyjnej na odprawie w okręgu — to myszy zaczynają tańcować. Ale na szczęście ja tu jeszcze czuwam, ja tu jestem odpowiedzialny i ja tu jestem postawiony. U mnie żadne przejawy samowoli nie przejdą. Nie, moi drodzy! Bez instrukcyj kosiarek nie puszczę. Trzeba czekać na instrukcje. Jasne?

Tu Wemborek nie wytrzymał:

— A jak te instrukcje przyjdą dopiero po sianokosach? To co będzie? Co?

— Nie mówię tego wszystkiego tak tylko, byle mówić, panie Wemborek, ale naprawdę nie można... nie można! Mądry człowiek to zrozumie... Przecież wszystko trzeba komisyjnie i w sposób zorganizowany. Ja mogę tego dowieść cyframi: więc najpierw protokół w czterech odpisach, z tym, że jeden pójdzie do zespołu, drugi do okręgu, trzeci do Warszawy, a czwarty.... czwarty zostanie u nas w aktach. Na tym protokóle, to proszę ja was, muszą być uwidocznione podpisy: kierownika, a jego przecież niema, sekretarza podstawowej organizacji, on też przecież wyjechał, no i mój... Ja mogę podpisać, choćby sto razy, ale bez tamtych dwóch podpisów wszystko będzie nieważne, tak jakby tych maszyn wcale nie było. Rozumiecie?

Wskazówki na zegarku wskazywały Kiszce godzinę dwunastą czterdzieści pięć, kiedy Suseł i Milczarek przy pomocy całej brygady Wemborka rozpakowywali ciężkie skrzynie. Postanowili wszystkie części obu kosiarek przewieźć na platformach traktorowych na łąkę i tam je dopiero zmontować, gdyż dziewięciometrowa maszyna nie przeszłaby przez bramę.

Dokładnie za piętnaście druga stanęli na łąkach. Znowu stara jak świat, a wielce pomocna w robocie komenda: „Ho-łop! Ho-łop!" — i olbrzymie człony kosiarek radzieckich złożono na pachnącej trawie. Suseł i Milczarek ujęli w dłonie wielkie klucze francuskie. Suseł stękał z wysiłku, Milczarkowi krwawiła ręka. Wemborek podpowiadał: „Trochę w prawo! Jeszcze trochę, o tak"...

W tym samym czasie księgowy Kiszka komponował w pocie czoła sążnisty donos na Wemborka, donos straszliwy, w którym pomieścił szereg barwnych sformułowań w rodzaju: „Zawsze podejrzewałem w-wym. że nie jest pozytywnie ustosunkowany!" Albo: „Niech się przewietrzy gdziekolwiek, bo zasiedział się tu u nas, obrósł sadłem i dlatego przychodzą mu do głowy takie różne myśli po linii klasowo nam obcej!"

Po godzinie donos był gotowy! Gotowi byli również ludzie z brygady Wemborka! Pierwszy wyruszył piegowaty Milczarek. Miał minę człowieka wielce przejętego swoim zadaniem. Zaterkotały potężne kosy i dziewięciometrowy łan trawy położył się na ziemi.

— Stój! — krzyknął poprzez warkot silnika brygadzista. Przyklęknął na jedno kolano i gładził obiema rękami wykoszoną szczecinę łąki. — Tnie jak ta lala... Ruszaj Milczarek!

Za Milczarkiem ustawił się z drugą kosiarką Wąs. Zaciął usta, włączył bieg. Ciągnik nabierał rozpędu, maszyna terkotała jak nienasycony dziób dzięcioła. Wkrótce też zniknęła za kępą olszyn.

W jakiś czas potem zjawił się ni stąd, ni zowąd sam Kiszka. Zauważył ze zdumieniem, że brygada Wemborka w szybkim tempie zbliża się ku końcowi roboty. Z grobową miną podjął z ziemi garść trawy, zmiął ją, powąchał, a potem rzucił za siebie. Zanim przeskoczył ponownie rów i skręcił w stronę zabudowań gospodarstwa, zmienił swoją pierwotną decyzję. Postanowił donos przechować na inne czasy, a teraz pobiec do telefonu i zameldować Dyrekcji Zespołu, że podczas nieobecności kierownika i sekretarza on, Kiszka, zakończył sianokosy przed ustalonym terminem.

Jakież jednak było jego zdziwienie, kiedy na ganku przed budynkiem administracyjnym ujrzał we własnej osobie kierownika, wyprowadzającego do drogi rower.

— Ależ ten Wemborek ma głowę! — wołał już z daleka. — Tylko gdzie jest wasza głowa, kolego księgowy? Zamiast sprawozdania kwartalnego wsadziliście mi do teczki instrukcje do montażu tych nowych kosiarek radzieckich...

Powoli zapadał wieczór, jeden z tych cichych i ciepłych wieczorów, które zdają się wyzwalać wszystkie zapachy ziemi.

Z oddali zbliżał się warkot traktorów — to brygada starego Wemborka wracała z łąk. W tym samym czasie w kancelarii dźwięczał telefon — również syn brygadzista donosił o ukończeniu sianokosów.

Dopiero później, w jakiś nigdy niewyjaśniony spo ób, niektórzy członkowie brygady dowiedzieli się znaczenia tych fatalnych „słów", którymi syn naraził się ojcu. Cóż on takiego powiedział? „Pamiętasz tata, jakieś mi skroił d... za to całowanie się z Zośką od sołtysa? No, to teraz ja ci skroję tymi sianokosami!"

Pierwszy etap współzawodnictwa zakończył się obopólną zgodą ojca i syna. W drugim etapie Zośka od sołtysa nazywała się już Wemborkowa i ku zadowoleniu swego teścia, była... przy nadziei. Zaś księgowy Kiszka, który obrósł w sadło, wietrzy się gdzieś.

Wojciech Drygas

Gazetka gminna

Współczesny Gaszek

Jako żywo, w najstarszych księgach i pergaminach notowano, iż mianem gacha lub gaszka zwano tego, który ku płci nadobnej gorące serce mając zalety uprawiał i ku mężatkom szczególną słabość odczuwał. Atoli w czasach dzisiejszych, anno domini 1953, żywią takowe Gachy, które tylko wstyd średniowiecznym skrybom i kronikarzom przynoszą. Albowiem odmienne skłonności mają.

Prawdziwość mych twierdzeń niechaj poprą fakty, które na kartach swego gospodarczego raptularza sam ów Gach, „obywatel ziemski" z sioła Skoroszyce w ziemi grodkowskiej leżącego, zanotował.

Odpis, jako nieoceniony dokument historyczny, udostępniam.

„Powrót swój do Skoroszyc anno domini 1949 za szczęśliwy mniemam, jako, że poślubiona mi żona zgodę na osobne zamieszkanie publicznie, wobec ludności sioła, wyraziła. Przemyślane to przeze mnie było, ale niechaj postronni sądzą, żem ku kobiecie stracił serce. Na zdrowie nam to wychodzi, albowiem mianem kułaków nie rzucają w człowieka. Nadobna żona ma, którą tylko odwiedzam wówczas, gdy ludzkie oko nie może tego dostrzec, a więc nocą, uzyskała tytuł średniaczki, bo zostało przy niej jedynie 10 ha grontu. Takiż tytuł i mnie przypadł, jako że posiadam obecnie tylko 5 ha. Uzyskawszy stawę średniaka i jedyny w swym rodzaju w skole ośrodek maszynowy założywszy za odrobek i ziarno przednie, dobrodziejem postępowym dla chłopstwa się stałem. Minionego anno domini spółdzielnię produkcyjną zakładając, swe włości 5-hektarowe do wspólnoty oddałem, jako że ziemia nie doznaje wahań. Sam zaś przy ośrodku zostając, 10 hektarów ślubnej mej małżonki uprawiam. I jakby nie wychodziło, to już teraz człek na dobrego obywatele Rzeczy Pospolitej zawżdy awansuje".

Pomyśleć, że takowe Gachy żywią jeszcze w Polszczel

Ambroży Chudziec

Pomysłowy świetlicowy

Takiej pomysłowości, jaką wykazuje młodzież gromady Pasieki, a zwłaszcza świetlicowy Michał Stehnij, nie notowały chyba żadne kroniki kulturalne.

W Pasiekach była świetlica w środku trochę przyniszczona. Obrażało to estetyczny smak świetlicowego, który mimo najszczerszych chęci nie mógł siebie nakłonić do pracy w takich warunkach. Ale że byt kształtuje świadomość, przeto wpadł pewnego dnia na genialny sposób. Urządził dochodową zabawę. Remont świetlicy był początkowym celem — końcowym stały się szyby okienne, przez które zachwycona pomysłem swego świetlicowego i rozochocona młodzież powyrzucała zbyteczne po wódce flaszki.

Za pieniądze uzyskane z zabawy odnowiono drzwi, na okna nie starczyło. Lecz od czego pomysłowość Stehnija? Nie ustawał on w pracy oświatowo-kulturalnej. Druga zabawa przyniosła dochód, który wystarczył na szyby, lecz w żadnym wypadku nie mógł pokryć dziur w podłodze i naprawić połamanych ram okiennych.

Trzecia zabawa, która zakończyła się rozwaleniem jednej ściany, nie przyniosła już jednak dochodu. Nie powiem, żeby miejscowi chłopi nie rozumieli potrzeby istnienia ośrodka rozwoju kultury i nie byli ofiarni w datkach, ale obecnie na terenie Pasiek w związku z inicjatywą zabawową Michała Stehnija obserwuje się już zanik środków obrotowych. A w ogóle, to w najbliższym czasie, po piątej zabawie, zniknie z powierzchni ziemi świetlica, po szóstej gromada, dalej gmina, powiat... Po dziesiątej chyba już zniknie świat!

Chociaż mnie się wydaje, że jeszcze przed piątą zabawą, z której dochód ma być przeznaczony znowu na remont świetlicy!!! — z Pasiek leżących w pow. Tomaszów Lubelski — powinien zniknąć świetlicowy Michał Stehnij.

Arkadiusz Rymarz

Odkrycie godne Kolumba

Poddajemy pod rozwagę najnowszą metodę bogacenia się ludzi, zastosowaną po raz pierwszy i z wielkim powodzeniem w gminie Goraj pow. biłgorajskiego — tym wszystkim, którzy mają skłonności do wprowadzania u siebie podobnego rodzaju nowości.

Dawniej, by z biedaka stać się kułakiem potrzeba było: najpierw nieuczciwości, potem wyzysku siły najemnej, wreszcie następował upragniony zakup kilkunastu ha ziemi... Metoda, której kolebką stała się gmina Goraj, jest znacznie bardziej prosta i mniej kosztowna. Potrzebujecie tylko uczciwego petenta, którego posiadane zagony nie liczą więcej jak 5 ha — jednego Motka — trochę Próchna i wreszcie chudego Barana. Można dodać, jeśli się chce, sołtysa. Wszystkie posiadane elementy należy umieścić w zaciszn m mieszkaniu (w gminie Goraj zrobiono to w izbie Wasila Macieja) i po godzinie uczciwy petent zostanie ogłoszony na całą gminę jako członek klasy kułackiej.

Że metoda jest skuteczna, przekonała się na własnej skórze małorolna chłopka, ob. Pecka, właścicielka 4 ha, zamieszkała w Kośni Adamowskiej wchodzącej w skład gminy, w której wyżej podaną metodę wprowadzono. Aby nikt we wsi i okolicy nie miał jednak wątpliwości co do samego faktu przeobrażenia się małorolnej w kułaczkę, wlepiono Peckiej od razu grzywnę za nie podlegające odstawie (a nie odstawione!!!) prosiaki. Ob. Pecka czuje się skrzywdzona i lamentuje. Ale to w gminie i w GRN nikogo nie wzrusza. Wiadomo, Pecka narzeka, bo to już teraz taka jej kułacka natura.

A wy jak myślicie? Czy to istotnie kułacka natura wywołuje w ob. Peckiej lamenty, czy też składniki całej tej historii (czyta): czynniki GRN), a więc Motek, Próchno i Baran są nieodpowiednie?

Antoni Worek

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel 8-00-81 Adres redakcji: Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7.
Tel: Red Nacz 863 86 Tel: Redakcji 87061, wewnętrzny 5, 73, 8
Warunki prenumeraty:
mies. — 4.60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55.20 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
RSW „PRASA" Warszawa Marszałkowska 3/5 4-B-18032